

Argentyna, Chile i Urugwaj 2014

Od naszej ostatniej wyprawy planowaliśmy pojechać znowu do Ameryki Południowej. Dużym problemem było to, że południe Argentyny i Chile można zwiedzać tylko podczas naszej zimy. Jednak w tym roku udało nam się zdobyć urlop i po raz pierwszy wyjechać na długą wyprawę w zimie. Naszą podróż zaczęliśmy od Ziemi Ognistej a konkretnie od Ushuaii, czyli najbardziej wysuniętego na południe miasta na świecie. Przez cztery tygodnie jechaliśmy na północ zwiedzając po drodze atrakcje Argentyny i Chile. Dojechaliśmy na samą północ Chile, pod granicą z Peru. Stąd pojechaliśmy na wschód w kierunku Buenos Aires, zwiedzając po drodze północ Argentyny. Korzystając z bliskiego sąsiedztwa z Buenos Aires spędziliśmy także trzy dni w Urugwaju. W ciągu 7 tygodni przebyliśmy około 13564 km autobusami, 382 km wypożyczonym samochodem, 224 km transportem morskim, 25 km rowerem i 151 km pieszo (same trekkingi). Do tego dochodzi jeszcze około 27509 km w samolotach. Poniżej znajduje się relacja z naszej podróży. Zdjęcia z naszej wyprawy znajdują się na stronie plecakowicz.pl/foto a filmy są na stronie www.youtube.com/user/plecakowicz. Życzymy miłego czytania i oglądania zdjęć oraz filmów. Będziemy wdzięczni za wszystkie uwagi przesłane na e-mail: plecakowicz@gmail.com.

1. Spostrzeżenia z wyprawy

Argentyna jest jednym z największych krajów na świecie, dzięki czemu jest bardzo różnorodna. Południe, czyli Ziemia Ognista i Patagonia jest to raj dla miłośników piękna natury: ośnieżonych gór, lasów, jezior, lodowców. Stąd miłośnicy ptaków wrócą zadowoleni. Podczas rejsu po kanale Beagle'a można poczuć przedsmak Antarktydy oglądając kolonie pingwinów, fok, albatrosów. W Parku Narodowym Los Glaciares można oglądać lodowce z pobliskiego brzegu, można także podpłynąć do lodowców statkiem i poczuć dreszcze, gdy kawały lodu odrywają się od topiącego się lodowca. Kolejną możliwością oglądania lodowca jest ubranie raków i chodzenie po nim. Południe Argentyny jest mniej zaludnione i biedniejsze niż północ Argentyny. Na północy za to zwiedza się kolonialne miasta oraz piękne formacje skalane, które kojarzą się z parkami narodowymi w Arizonie i Utah w USA. Jedzenie w Argentynie jest bardzo smaczne, dużo jest dań zaczerpniętych z kuchni włoskiej. Oczywiście nie można wyjechać z Argentyny nie próbując doskonałych steków.

Chile nas pozytywnie zaskoczyło, bo miało być jedynie dodatkiem do Argentyny. Okazało się jednak, że ten kraj ma tak dużo do zaoferowania i nie jest wcale mniej interesujący niż Argentyna. W Parku Narodowym Torres del Paine znajdują się jedne z najlepszych tras trekkingowych na świecie. Wyspa Chiloe jest wyjątkowa i zupełnie inna niż reszta kraju. Byliśmy na szczytach wielu wulkanów, ale z nich tylko Villarrica była pokryta śniegiem i można z niej było zjechać jak na sankach. Okolice San Pedro de Atacama to ucztą dla miłośników przyrody: gejzery, jeziora, wulkany, piękne formacje skalne, solna pustynia (salar), zwierzęta, indiańskie wioski. Spędziliśmy tam cztery dni i żałujemy, że tylko tyle, bo nie widzieliśmy wszystkiego.

W **Urugwaju** spędziliśmy jedynie trzy dni, więc dużo o nim nie możemy napisać. Punta del Este to ładne plaże i raj dla surferów. W stolicy kraju, Montevideo, zwiedza się głównie ładne Stare Miasto. Centrum historyczne miasta Colonia de Sacramento to perełka Urugwaju, dlatego zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na przeciwległym brzegu rzeki Rio de la Plata znajduje Buenos Aires w Argentynie.

2. Ocena miejsc

Poniżej znajduje się **ocena miejsc, w których byliśmy** wg następującej skali ocen: 1 – badziewie, 2 – nieciekawe, 3 – nic specjalnego, 4 – takie sobie, 5 – może być, 6 – całkiem ciekawe, 7 – warto zobaczyć, 8 – trzeba zobaczyć, 9 – szczególnie polecamy, 10 – trzeba koniecznie zobaczyć:

- **Argentyna [8/10]:** Ushuaia [8/10], Rejs po kanale Beagle [8/10], Park Narodowy Tierra del Fuego [8/10], Lodowiec Perito Moreno [10/10], El Chalten: Laguna Torre [9/10], El Chalten: Laguna de los Tres [9/10], Glaciar Viedma [6/10], Bariloche [7/10], Bariloche: Circuito Chico [7/10], Ruta de los siete lagos [7/10], Salta [8/10], Quilmes [7/10], Cafayate: Quebrada de las Conchas [9/10], PN Talampaya [9/10], Cordoba [7/10], Alta Gracia [7/10], Buenos Aires [8/10], Lujan [7/10], Tigre [7/10]
- **Chile [9/10]:** Isla Magdalena [10/10], Torres del Paine [10/10], Ancud [6/10], Monumento Natural Islotes de Penihuil [6/10], Castro [8/10], Achao [7/10], Chonchi [7/10], Nercon [7/10], Wulkan Villarrica [10/10], Termas Geometricas [7/10], Valparaiso [8/10], Vina de Mar [7/10], Santiago de Chile [8/10], Iquique [6/10], Humberstone i St. Laura [7/10], Arica [8/10], Lauca National Park [9/10], Valle de la Luna [8/10], Lagunas Altiplanicas [9/10] El Tatio [9/10], Laguna Cejar [8/10]
- **Urugwaj [6/10]:** Punta del Este [7/10], Montevideo [4/10], Colonia de Sacramento [8/10]

3. Dziennik podróży

27.12.2013 Wrocław → Berlin → Madryt

Prywatnym busem jedziemy z Wrocławia prosto na lotnisko w Berlinie. Podróż odbywa się szybko i bez komplikacji. Czasem lepiej wybrać lot z Berlina niż Warszawy, bo od nas dłużej się jedzie do polskiej niż niemieckiej stolicy. Wieczornym samolotem firmy Iberia lecimy do Madrytu. Jest zapełniony. Wygląda to na tanią linię lotniczą, nawet napoje trzeba sobie dodatkowo dokupić. W Madrycie kupujemy bilet na metro do Barajas (1 stacja za lotniskiem). Niestety trzeba dopłacić dodatkowo 3 euro/os. za wyjazd z lotniska, co łącznie daje 4,5 euro od osoby. Hotel w centrum Barajas jest bardzo przyjemny i czysty.

28.12.2013 Madryt → Sao Paulo

Rano po śniadaniu wracamy na lotnisko. Jest to jedno z największych lotnisk w Europie. Nowoczesne, rozległe i całkiem nieźle zaopatrzone. Jeśli odjeżdżamy z różnych terminali to warto sobie zarezerwować więcej czasu na przesiadkę, bo pomiędzy terminalami trzeba przejechać kolejką podziemną albo autobusem. Samolot linii Iberia odlatuje punktualnie. Za oknem pięknie świeci słońce, zwiastując pogodę, jaka czeka na nas w Brazylii. Samolot nie jest pełny, więc mamy aż 4 siedzenia dla siebie. Iberia to dość dziwna firma. Niby regularna linia lotnicza, będąca w sojuszu, ale jakby gorsza. Posiłki co prawda wliczone są w cenę biletu, ale standard porównalibyśmy do tanich linii lotniczych (zepsuty głos w słuchawkach nie zrobił na obsłudze żadnego wrażenia). Po przylocie do Sao Paulo wypłaciliśmy reale z bankomatu i pojechaliśmy zwykłym autobusem w kierunku centrum. Tam przesiedliśmy się do metra, którym dojechaliśmy już do samego centrum. Tu czekał na nas wynajęty pokój, do którego dobiegliśmy całkowicie przemoczeni tropikalnym, wieczornym deszczem.

29.12.2013 Sao Paulo

Po śniadaniu postanawiamy przejść się trasą zwiedzania zaproponowaną przez LP. Zaczynamy od skrzyżowania Av. Sao Joao i Av. Ipiranga. Nie znamy wprawdzie Sumpy, która uwiecznia to miejsce, ale i tak jest to po drodze do kościoła do Rosario dos Homens Pretos. Akurat trwa Msza Święta, więc dyskretnie zwiedzamy wewnątrz. Obok kościoła na placu leży cała grupka mężczyzn. Zastanawiamy się czy to bezdomni czy może po prostu przyszli tu odpoczywać, bo mimo wczesnej pory, jest już całkiem ciepło. Przy kościele jest też pomnik karmiącej niewolnicy, czarnej matki. Historia, którą upamiętnia jest bardzo smutna. Dalej idziemy już do ścisłego centrum. Przed naszymi oczami ukazują się słynnej wieżowce z ciekawym Edificio Martinelli. Pod nim swoje namioty rozbili bezdomni. Dziwimy się, że policja nie wyprasza ich z tego miejsca. Swoją drogą policjanci mają swoją bazę niedaleko w przyczepie kampingowej. Oglądamy także budynek Banessa, niestety w niedzielę nie można wjechać na górę. Idziemy na Mszę do kościoła św. Benedykta. Piękne gregoriańskie śpiewy przyciągają tu w niedzielę tłumy turystów. Później idziemy na plac Pateo do Colegio, na którym zostało założone Sao Paulo i plac katedralny. Przed katedrą stoi wielka, sztuczna choinka, pod którą Brazylijczycy chętnie pozują do zdjęć. We wnętrzu katedry jest czasowa ekspozycja dotycząca wizyty Jana Pawła II w Ziemi Świętej. Nasze uśmiechy wywołuje widok szopki betlejemskiej, przy której stoi sporo dzieci. Jakoś ciężko nam uwierzyć, że przeżywamy w tym upale Boże Narodzenie. Następnie idziemy na plac Św. Franciszka z Asyżu, do kościoła pod tym wezwaniem oraz oglądamy Wydział Prawa. Stamtąd wyruszamy pod Teatro Municipal. Budynek robi wrażenie, nie dziwne, że jest dumą mieszkańców miasta. Spod opery ładnie widać też wieżowce leżące w centrum, a które od teatru dzieli ładny pas zieleni. Nasze zwiedzanie kończymy na dachu wieżowca Italia. Znajduje się tu droga, ale urocza kawiarnia, skąd można podziwiać Sao Paulo z góry. Dopiero tutaj uświadamiamy sobie jak wielkie to jest miasto. Prawdziwa betonowa pustynia. Zachwyceni tym, że zostało nam jeszcze dużo czasu przed odjazdem, postanawiamy pójść jeszcze na Mercado Municipal, targ miejski, gdzie sprzedawane są kolorowe i pyszne owoce z całego świata. Nie ma to jak najeść się truskawek, borówek i jeżyn w środku zimy. Stamtąd powoli wracamy do hotelu, po drodze zatrzymując się na obiad i pyszne, naturalne, owocowe soki. Wieczorem jedziemy metrem i autobusem na lotnisko. Chcemy wymienić pieniądze, które nam zostały, ale kurs jest tak złodziejski a do tego pobierana jest tak wysoka prowizja, że postanawiamy zostawić reale i spróbować je wymienić lepiej w Argentynie, co potem wychodzi nam na dobre, bo dostajemy dobry kurs i nie musimy płacić prowizji.

30.12.2013 Buenos Aires → Rio Gallegos → Ushuaia

Rano lecimy do Rio Gallegos. Lotnisko w Rio Gallegos jest małe. Znajduje się tu 1 sklep, jeden bankomat i restauracja. Nie możemy wypłacić pieniędzy z bankomatu, ale na szczęście w restauracji przyjmują od nas dolary. Cały dzień spędzamy w restauracji, czytając przewodniki i książki, gdyż dopiero wieczorem mamy lot do Ushuaii. Lecimy małym samolotem na ok. 20 osób. Widoki są niesamowite, bo samolot nie wzbija się wysoko, lecimy więc jakby na wysokości gór. Ponad nami widzimy cieśninę Magellana a potem zatokę Beagle. Gdy pokazuje się naszym oczom Ushuaia, rozumiemy, dlaczego tyle osób tu gna. Nie z powodu tego, że to wysunięte najdalej na południe miasto Ameryki Południowej, ale ze względu na to piękne położenie. Tak wyobrażamy sobie też Alaskę. Piękne, ośnieżone góry, woda, lasy. Z lotniska jedziemy taksówką do B&B Ajpel. Zostawiamy tam bagaże i idziemy do supermarketu na zakupy. Miasteczko nie jest wcale takie małe, choć ścisłe centrum to zaledwie dwie ulice.

31.12.2013 Ushuaia → Glaciar Martial

Zaraz po śniadaniu razem z poznanymi Amerykanami jedziemy taksówką pod dolną stacją kolejki pod górą i lodowcem Martial. Korzystamy z wyciągu, żeby zaoszczędzić trochę czasu i wjeżdżamy na górę. Można oczywiście tą trasę przejść na pieszo, jeśli dysponuje się większą ilością czasu. Trasa jest prosta, wiedzie wzdłuż wyciągu. Z górnej stacji kolejki wejście pod sam lodowiec zajmuje nam około godziny. Jesteśmy zaskoczeni, że tak dużo tu Brazylijczyków. Niektórzy pierwszy raz chyba widzą śnieg, bo gdy tylko przekraczamy granicę śniegu robią sobie zdjęcia i tarzają się w nim niczym dzieci. Trasa jest bardzo przyjemna i łatwa, w sam raz na spacer. Po wejściu na górę bardzo ładnie widać panoramę Ushuaia i zatoki Beagle. Warto ubrać dobre buty, bo nawet latem w górnej części jest dużo śniegu. Po zjeździe na dół okazało się, że nie tak łatwo złapać taksówkę z powrotem do miasta. Na szczęście co jakiś czas ludzie przyjeżdżali pod stację i wtedy powolutku rozładowywała się kolejka oczekujących. W mieście chcieliśmy jeszcze zwiedzić muzeum Maritimo y Naval, ale uznaliśmy, że chyba nie mamy na to czasu, bo już z zewnątrz muzeum wydawało się dosyć duże. Udało nam się natomiast zwiedzić niewielkie Muzeum Yamana, prezentujące ciekawą kulturę rdzennej ludności Ziemi Ognistej. O 16 zameldowaliśmy się na statku Plancius, którym podróżowaliśmy na Antarktydę.

18.01.2014 Ushuaia → Rejs po kanale Beagle

Po śniadaniu żegnamy się z naszym statkiem i wszystkimi uczestnikami wyprawy, z którymi zaprzyjaźniliśmy się w ciągu tych trzech tygodni. Przy wyjściu z portu czeka na nas Susana z zięciem, którzy odbierają od nas bagaże i dają voucher na zamówioną przed wyjazdem wycieczkę-rejs po kanale Beagle. Płacimy kartą w budce przy porcie. Sprzedają tu wszystkie rejsy, ale ceny są takie same, jeśli kupuje się przez hostel. Niestety nie mamy argentyńskich peso i wycieczka po oficjalnym kursie stanowi niezły szok cenowy. Prawie 100 dolarów od osoby. Płyniemy katamaranem na wysepki położone w kanale, na których widzimy kormorany, lwy morskie i przepiękną białoczerwoną latarnię morską. Później przepływamy koło Puerto Williams, najdalej położonej na południe kontynentu osady-wioski ludzkiej. Płyniemy też na wyspę, na której swoją kolonię mają pingwiny Magellana. Spotykamy tu też dwa pingwiny królewskie. Następnie część pasażerów, w tym my wysiadamy na Estancia Harberton, czyli starym ranchu, które pastor Thomas Bridges zbudował, kiedy został wysłany tu na misję wśród Indian Yamana. Zabudowania nie robią na nas dużego wrażenia. Zwykle szopy i baraki jakich w Polsce kiedyś było wiele, choć nie można odmówić miejscu uroku i autentyczności. Dookoła rosną piękne kwiaty i drzewa a sama zatoka jest bardzo spokojna i przyjazna. Miejsce to niewątpliwie warto natomiast odwiedzić ze względu na znajdujące się tu muzeum Acatushun, w którym zgromadzono szkielety zwierząt żyjących w wodach zatoki Beagle i na Antarktydzie. Kolekcja jest imponująca i wiele można się dowiedzieć. Orowadzanie odbywa się również po angielsku. Było to dla nas dobre uzupełnienie do tego, co dowiedzieliśmy się już podczas rejsu na Antarktydę. Na terenie estatancji znajduje się restauracja, w której jemy zupeł. Wracamy do miasta autobusem, który zatrzymuje się przy różnych punktach widokowych na jezioro oraz drzewa-flagi, które wiatr pochylił tak, że rzeczywiście przypominają powiewającą flagę. Po powrocie do miasta idziemy do muzeum-więzienia Maritimo y del Presidio. Znajduje się tu kolekcja map i statków, które podróżowały po wodach dookoła Antarktydy i Ziemi Ognistej, więzienie, z jednym skrzydłem zachowanym w pierwotnym stanie, historia więzienia i miasta. Muzeum jest duże, warto poświęcić ze 3 godziny na jego dokładne obejście. Dobra rzeczą jest to, że do muzeum można powrócić następnego dnia, jeśli się podbije bilet w kasie i okaże paszport. Zmęczeni, robimy zakupy w La Anonima i jemy szybką kolację.

19.01.2014 Ushuaia → Park Narodowy Tierra del Fuego

Po smacznym śniadaniu jedziemy busikiem, który zabiera nas z hostelu na stację początkową historycznej kolejki El Tren del Fin de Mundo, która kiedyś jeździli więźniowie z Ushuaia do pracy a obecnie z uroków tej wąskotorówki, która jest bardzo skomercjalizowaną atrakcją, ale jednocześnie urokliwą, korzystają codziennie rzesze turystów. Po drodze kolejka zatrzymuje się na jednym przystanku, gdzie można wysiąść i przejść się kawałek na górkę, by zobaczyć wodospady i na dół, żeby zobaczyć szałas plemienia Yamana. W czasie jazdy po hiszpańsku, angielsku i portugalsku opowiadana jest historia więzienia oraz życia więźniów. Jest to więc niezłe uzupełnienie w stosunku do muzeum, które odwiedziliśmy w mieście. Z okien pociągu widać strumienie, góry, pola, na których pasą się zwierzęta oraz martwy las. Ze stacji kolejki idziemy Sendera Costanera, szlakiem wiodącym wzdłuż brzegu jeziora. Bardzo nam się ta droga podoba, jesteśmy nawet zdziwieni, że nie ma na niej zbyt wielu turystów. Potem dopiero widzimy, że większość zwiedza park autobusem podjeżdżając do każdego z czterech przystanków w parku i robiąc tam zdjęcia. My jednak zdecydowanie polecamy pieszą wędrówkę. Po drodze mijamy urokliwe plaże, zatoki i przepiękne, niespotykane w Polsce gatunki ptaków. Dochodzimy do informacji turystycznej z malutkim muzeum, które zwiedzamy i idziemy dalej wzdłuż jeziora do schroniska. Po drodze mijamy pole namiotowe, na którym wiele osób, w większości Argentyńczyków grilluje. Przy jeziorze spotykamy kolejne piękne ptaki. Pijemy herbatę i podjeżdżamy autobusikiem do następnego przystanku, gdzie idziemy do Laguna Negra. Jezioro jest rzeczywiście ciemne, znacznie bardziej niż poprzednie. Dalej kontynuujemy drogę szlakiem Senda Hiti XXIV wzdłuż Lago Roca. Po drodze jest kilka punktów widokowych na jezioro. Szlak kończy się na granicy argentyńsko-chilijskiej. Z ostatniego przystanku wracamy ostatnim autobusikiem do Ushuaia. Idziemy na Mszę Świątą do miejscowej parafii. Po przejściu ok. 20 km po parku szybciotko zasypiamy.

20.01.2014 Ushuaia → Punta Arenas

Wstajemy wcześnie, bo o 5 odjeżdża nasz autobus do Punta Arenas. Susana przygotowuje nam śniadania i obficie całuje na pożegnanie. Polecamy serdecznie Ajpel B&B. Właścicielka naprawdę pomogła nam załatwić wiele spraw, oferuje dobre pokoje i śniadanie za przyzwoitą cenę. Pogoda jest kiepska. W Rio Grande każą nam zmienić autobus i udać się na odprawę paszportową po argentyńskiej stronie. Trochę śmieszne, zwłaszcza, że do granicy jedziemy później jeszcze sporo czasu. Droga asfaltowa kończy się jednak zaraz za miastem, więc pewnie nie chciało się nikomu tam dojeżdżać, tym bardziej, że w okolicy granicy nie ma żadnych miast. Na granicy chilijskiej jest dość szczegółowa kontrola, nie można przewozić m. in. owoców, więc lepiej o tym pamiętać i zjeść wszystko przed dotarciem do punktu kontrolnego. Później płyniemy promem przez cieśninę Magellana. Na myśl przychodzą lekcje geografii, gdzie uczyliśmy się o tym słynnym przesmyku między oceanami. Ok. 18 dojeżdżamy do miasta, idziemy do hostelu a potem na miasto coś zjeść. Korzystamy z rekomendowanej w LP Café Almacén Tapiz, gdzie podają doskonale soki z pomarańczy, kanapki i sałatki. Kupujemy też bilety na podróż do Puerto Natales.

21.01.2014 Punta Arenas → Isla Magdalena

Po śniadaniu jedziemy taksówką do portu Tres Puentes, skąd odpływa prom na Isla Magdalena. Biletów nie trzeba kupować wcześniej. Na miejscu przed odpłynięciem prowadzona jest sprzedaż. Dziwimy się, że wycieczka odbywa się wielkim promem do przewożenia samochodów, skoro tylko sami piesi na niego wsiadają. Podróż zajmuje większość czasu wycieczki (2 godziny w każdą stronę). Na miejscu zostajemy tylko 1 godz. 15 min., ale wyspa nie jest wielka i spokojnie udaje

nam się przejść całą trasę wyznaczoną do zwiedzania i dojść do latarni morskiej, która króluje nad wyspą. Wyspa znana jest z kolonii pingwinów Magellana. Choć naoglądaliśmy się wiele pingwinów, w tym tego gatunku podczas podróży na Antarktydę, to jednak jesteśmy bardzo pozytywnie zaskoczeni tym miejscem. Pingwiny są bardzo blisko, niektóre nawet same podchodzą do turystów, szarpiąc ich na nogawki spodni. No i jest ich imponująca ilość a nie, że trzeba szukać pingwina z lornetką. Poza tym można tu zobaczyć także albatrosy. Polecamy to miejsce wszystkim tym, którzy lubią oglądać zwierzęta. Poza Antarktydą i wyspami dookoła niej, to najlepsze jak do tej pory miejsce, w którym oglądaliśmy pingwiny. Po powrocie do miasta idziemy do katedry, która jest niestety zamknięta oraz do muzeum Naval i Maritimo, bo jesteśmy zainteresowani zdjęciami i pamiątkami z wyprawy jaka stąd wyruszyła na pomoc ludziom Shackletona uwięzionym na Elephant Island. Na głównym placu zastanawiamy się, dlaczego szydełkowym sweterkiem otulono konary największego w okolicy drzewa. Może żeby nie zmarzło. Jemy obiad i wracamy do hostelu.

22.01.2014 Punta Arenas → Puerto Natales

Rano taksówką jedziemy na dworzec. Droga do Puerto Natales mija nam na czytaniu przewodnika. Po przyjeździe kupujemy od razu bilety na podróż do Parku Narodowego Torres del Paine na następny dzień. Wszystkie firmy wyjeżdżają o jednej porze i mają taką samą cenę za przejazd. W naszej jest promocja i jako jedyna jeździ za 5000 peso mniej. Kusimy się na okazję i idziemy do Hostelu Shakana. Przed 15 robimy rekonesans gdzie i za ile można wypożyczyć sprzęt na trekking. O 15 uczestniczymy w codziennej pogadance na temat trekkingu w Erratic Rock. Każdemu, kto wybiera się na trekking polecamy udać się na to bezpłatne spotkanie. Przez półtorej godziny dowiadujemy się naprawdę wszystkiego co trzeba wiedzieć wybierając się na którykolwiek z dłuższych trekkingów w parku, od tras, przez pogodę, do tego co trzeba ze sobą zabrać. Wypożyczamy u nich po spotkaniu namiot, bo wygląda, że mają porządniejsze a resztę sprzętu (karimaty, 1 śpiwór, zestaw do gotowania i jedzenia) od innej osoby, która ma trochę tańsze ceny. Ogólnie ceny są podobne i niewiele można zaoszczędzić wybierając innych pośredników. Robimy mega zakupy na cały trekking (w tym płatki i owsiankę z orzechami i rodzynkami na śniadania, zupy w proszku oraz makaron z sosami pomidorowymi na kolacje, a także warzywa w puszcze z mięsem i gotowy makaron po chińsku dla odmiany). Kupujemy też przekąski, choć najbardziej polecamy zabrać czekoladę, snickersy, mieszanki orzechów i bakalii. Przepakowujemy plecaki i oddajemy 1 na przechowanie właścicielowi hostelu Shakana, który jest niezłą spelunką z dobrym śniadaniem (dwójka śmierdziała niemiłosiernie i było strasznie zimno w nocy, chyba najgorszy nocleg w Chile). Idziemy spać, bo rano czeka nas szybka pobudka.

23.01.2014 Puerto Natales → Torres del Paine: Refugio Grey

Po smacznym śniadaniu w Shakanie jedziemy o 7:30 do parku narodowego. Jednocześnie odjeżdża z miasta około 8 autobusów z turystami, którzy pójdą tam na trekking. Sporo, na szczęście opcji jest wiele i nie wszyscy idą tą samą trasą. Gdy dojeżdżamy do parku narodowego widzimy w oddali pięknie oświetlone Torres. Przy drodze widzimy też stada guanako. Szkoda, że autobus się, choć na chwilę nie zatrzymuje przy nich. Postój zaplanowany jest przy bramie wjazdowej do parku. Tutaj wypełniamy formularze, w których podaje się, ile dni planujemy zostać i co chcemy robić, płacimy za wstęp do parku i oglądamy film na temat tego co wolno i nie wolno robić w parku. Korzystamy z okazji i idziemy robić zdjęcia Torres, co okazuje się strzałem w 10, bo pogoda jest wyśmienita i ostatniego dnia, kiedy tam doszliśmy nie było już tak ładnie. Dlatego polecam nie nastawiać się zbyt mocno z której strony zacząć trekking, bo gdy dobrze widać Torres, poszłabym tam pierwszego dnia a nie od zachodu na wschód. Nie wiadomo bowiem jaka będzie pogoda ostatniego dnia, gdy idzie się z zachodu na wschód. My nieświadomi niczego trzymamy się planu i jedziemy dalej

autobusem do drugiego przystanku - Pudeto. Tu mamy około godziny oczekiwania na katamaran, który zabierze nas do Refugio Paine Grande. Przy porcie znajduje się kafejka, w której można się napić kawy lub herbaty. Sam widok na jezioro i otaczające góry również jest piękny. Korzystając z wolnego czasu jemy kanapki. Rejs katamaranem okazuje się jedną z największych atrakcji w czasie całego trekkingu. Pogodę mamy wspaniałą, więc oprócz przepięknego jeziora Pehoe widzimy panoramę wszystkich gór parku narodowego z Los Cuernos na czele. Cały rejs spędzamy na górnym pokładzie robiąc zdjęcia i kręcąc filmy. Po dopłynięciu postanawiamy od razu wyruszyć na szlak. Mijamy punkt kontrolny strażników parku, którzy stemplują nam kartę, jaką każdy turysta dostaje wjeżdżając do parku i zaczynamy wędrówkę. Początkowo droga wiedzie doliną, lekko w górę. Robi się naprawdę ciepło i robieramy się do krótkich rękawków, tym bardziej, że czeka nas krótkie podejście w górę. Na szczycie zatrzymujemy się na pierwszy postój na pięknym punkcie widokowym na jezioro Grey. Dalej droga wiedzie prawie po prostym terenie z kolejnymi punktami widokowymi na jezioro. Po jeziorze pływają kry lodowe z lodowca, im dalej, tym jest ich więcej. Dochodzimy wreszcie do pierwszego punktu widokowego na sam lodowiec Grey. Wyraźnie widać jego trzy odnogi. Dalej droga wiedzie w dół i pozwala nam na coraz lepsze zdjęcia lodowca. Mieścimy się w podanym na mapce czasie dojścia (ogólnie czasy w naszym przypadku się sprawdzały). Meldujemy się na kempingu (wszędzie są osobne recepcje dla schroniska i dla kempingu), rozbijamy namiot i idziemy na punkt widokowy bezpośrednio przy lodowcu, w miejscu gdzie dawniej znajdował się kemping Guardas. Widać, że większość osób rezygnuje z tej trasy, bo jest zbyt zmęczona trekkingiem, ale my polecamy wszystkim wyżyć siły i kontynuować drogę aż do lodowca, bo po drodze są piękne punkty widokowe oraz przechodzi się przez świetny, podobny do himalajskich, wiszący nad przepaścią most. Na punkcie widokowym na lodowiec jesteśmy sami, więc w spokoju możemy podziwiać go z góry. Wracamy do Refugio Grey, kapiemy się (jest ciepła woda), jemy kolację we wspólnej jadalni. Wygląda to dość komicznie, bo na długich stołach ustawione są same kuchenki gazowe, które turyści przynieśli ze sobą. Każdy zagląda drugiemu do garnka, co czasem powoduje śmieszne sytuacje. W każdym razie nasza puszka z mięsem ziemniakami i warzywami wywołuje dodatkowy głód u Hiszpanki, która postanawia się lepiej zaopatrzyć w sklepiku który jest na miejscu. W końcu po długim marszu wszyscy są głodni. W sklepiku można znaleźć wszystkie podstawowe produkty z makaronem i sosami włącznie. Ceny są wyższe niż w Puerto Natales, ale jeśli nie chce się nosić jedzenia można dopłacić i kupić co potrzebne na miejscu. Istnieje też możliwość wykupienia posiłków w schroniskach. Ceny są jednak wysokie i z tego co słyszeliśmy od osób, które korzystały z tej formy wyżywienia, jedzenie też nie zawsze jest dobre. Dość późno kładziemy się spać.

24.01.2014 Torres del Paine: Refugio Grey → Campamento Italiano

Rano długo pospaliśmy. Po śniadaniu poszliśmy jeszcze na punkt widokowy na lodowiec, który znajduje się 15 min. od kempingu. Większość była tam poprzedniego dnia, ale nam się już nie udało tam dojść. Wychodzi nam to na dobre, bo kiedy tam przychodzimy nie ma praktycznie nikogo a dodatkowo lodowiec jest pięknie oświetlony. W zatoczce pod punktem widokowym pływają kry lodowe. Dość późno, bo o 11:20 zaczynamy wędrówkę. Połowa trasy jest taka sama jak poprzedniego dnia, trzeba bowiem dojść do Refugio Paine Grande. Powiedziałabym, że droga w tą stronę jest bardziej wymagająca, zwłaszcza w pierwszej części, gdyż wiedzie pod górkę. Po drodze jest na szczęście wiele źródeł, z których można czerpać pitną wodę. Korzystamy, jak zresztą wszyscy turyści z tej formy i nosimy tylko małą półlitrową butelkę na naszą dwójkę. Dobrze, że poprzedniego dnia zrobiliśmy wiele zdjęć, bo dzisiaj pogoda jest gorsza, jest bardziej pochmurno. Po dojściu do Paine Grande robimy sobie postój. Jemy kanapki i kupujemy ciepłe napoje w schronisku. Maja nawet cappuccino a ceny są przystępne. Kontynuujemy naszą drogę wzdłuż jeziora Skottsberg. Warunki się pogarszają i zaczyna wiać silny wiatr. Widzimy jak niektórych

turystów dosłownie powala na ziemię i wyrывa im śpiwory. Na szczęście po około godzinie wiatr ustaje i spokojnie dochodzimy do pierwszego darmowego kempingu Italiano. Na miejscu jest wyznaczona wiata do gotowania oraz toalety. Pryszniców nie ma. Myjemy więc zęby, buzie i nogi w strumieniu. Zmęczeni, gdyż był to dla nas chyba najtrudniejszy dzień, szybko zasypiamy. Wiatr ugina drzewa ponad nami i nie odpuszcza prawie całą noc.

25.01.2014 Torres del Paine: Campamento Italiano → Campamento Británico → Refugio Los Cuernos

Dziś postanawiamy wstać szybciej, czyli o 7:00. O 8:00 jesteśmy już ubrani i po sycącym śniadaniu. Bez zwłoki wyruszamy bez plecaków do Campamento Británico. Praktycznie cały czas droga wiedzie w górę. Cieszymy się więc, że nie musimy nieść bagażu. Po około godzinie dochodzimy do pięknego punktu widokowego na wiszące lodowce a z tyłu na jezioro. Pogoda nam dopisuje i idzie nam się dość łatwo. Wielokrotnie mijamy też dużą rzekę, z której można czerpać wodę. Końcowe 20 minut to strome podejście pod górkę, ale w zamian czekają nas piękne widoki na całą dolinę francuska, z Los Cuernos z jednej strony i Cerro Paine Medio z drugiej strony. Jemy przekąski, odpoczywamy i wyruszamy łatwą drogą w dół. Przy lodowcach znów zaczyna wiać silny wiatr. Wiele osób dopiero podchodzi pod górę, ale widzimy, że przyszyły chmury i nie będą mieli takich ładnych widoków jak my. Po powrocie na pole namiotowe, pakujemy nasze rzeczy, pijemy herbatę, odpoczywamy i wyruszamy w dalszą drogę z plecakami. Przejście do Los Cuernos jest dość łatwe, praktycznie bez większych wzniesień, wzdłuż jeziora, a nawet na końcu po plaży. Pogoda robi się iście tropikalna, widzimy, że wiele osób korzysta nawet z obecności jeziora i moczy w nim zmęczone nogi. Szybko udaje się nam dojść do schroniska, kapiemy się i wypoczywamy. Wiele osób się opala na tarasie przy schronisku i chodzi po plaży. Rozbijamy namiot i jemy obiad. W trakcie posiłku zrywa się porywisty wiatr, tak mocny, że unosi wodę znad jeziora wysoko w górę. Idziemy nad jezioro, żeby zrobić zdjęcia temu niesamowitemu zjawisku, ale ledwo możemy ustać. Przemek czasem musi kucać, bo inaczej wiatr mógłby go przewrócić. Żałuję, że to nie ja mam aparat, żeby mu zrobić zdjęcia. Kładziemy się szybko spać, żeby rano znów wcześniej wyruszyć.

26.01.2014 Torres del Paine: Los Cuernos → Campamento Torres

Rano mamy piękną słoneczną pogodę. Powoli przyzwyczajamy się do tego, że pogoda jest tu nieprzewidywalna i może się zmienić z minuty na minutę. Po śniadaniu wyruszamy w drogę. Pierwsza część do skrótów do Chileno jest prosta, są niewielkie podejścia w górę, ale niezbyt męczące i długie. Po drodze jest sporo punktów widokowych na jezioro Nordenskjöld. Po rozejściu jest pierwsze podejście pod górkę. Robimy sobie dłuższy postój na łączce za górkę. Oglądamy tu też piękne ptaki. Dalej droga już prawie cały czas wiedzie pod górę, ale nie stromo, raczej łagodnie. Gdy dochodzimy do głównej drogi z Laguna Amarga do Refugio Chileno cieszymy się, że szliśmy z zachodu na wschód i nie musieliśmy pokonywać tego ostrego i chyba najgorszego podejścia. Z tego też powodu ogólnie polecamy zacząć od zachodu. Po dojściu do Chileno widzimy, że turyści idą dalej do Campamento Torres. Po wypiciu herbaty my również postanawiamy kontynuować drogę, choć dwa dni temu strażnicy w parku ostrzegli nas, że to darmowe pole namiotowe będzie zamknięte z powodu zatłoczonych toalet. Droga wiedzie cały czas pod górę, ale po tylu dniach trekkingu nie odczuwamy już zmęczenia, widać, że nogi się już przyzwyczały do marszu. Na miejsce dochodzimy ok. 15. Jemy obiad, rozbijamy namiot i szybko kładziemy spać, bo zaczyna padać, jest zimno i pada deszcz (to było dla nas najzimniejsze miejsce, spałam w 2 śpiworach i wszystkim co miałam, czyli 3 polarach, czapce, rękawiczkach narciarskich i niezliczonych warstwach legginsów).

27.01.2014 Torres del Paine: Campamento Torres → Mirador Las Torres → Laguna Amarga → Puerto Natales

Rano budzimy się o 4:30 a przed 5 wyruszamy już na górę, żeby na wschód słońca zdarzyć pod Las Torres. Jest zupełnie ciemno, więc przydaje się czołówka. Jest zimno, ale podejście jest dość strome, więc lepiej ubrać się lekko, bo robi się gorąco. Idzie mi się wyjątkowo dobrze, może dlatego, że jest ciemno i podążam za innymi osobami. Gdy dochodzę na górę zaczyna się przejaśniać i powoli odkrywają się przede mną wieże. Wschód słońca jest za chmurami, więc niebo jest szarawe. Gdy Przemek dochodzi przed 6 góry są bardzo dobrze widoczne. Ku naszemu zaskoczeniu u ich podnóża jest piękne zielone jezioro. Siadamy na karimacie, którą wzięliśmy ze sobą (polecamy, bo na górze jest zimno i siedzenie na kamieniu nie jest przyjemne). W nagrodę konsumujemy czekoladę, robimy zdjęcia. Około 6:20 powoli zaczynają nadciągać chmury nad poszczególne wieże. O 6:30 nie widać ich już prawie wcale. Cieszymy się, że nam się udało i schodzimy powoli na pole namiotowe. Teraz, gdy widzimy drogę pod górę wydaje nam się, że jest trudniejsza niż przeszliśmy. Zwijamy mokry i brudny od deszczu namiot. Jemy śniadanie, korzystając z butli gazowej podarowanej nam przez strażnika, gdyż nasza się skończyła poprzedniego dnia i idziemy do Chileno. Tu spokojnie wypoczywamy w schronisku i pijemy herbatę. Dalej schodzimy na dół do schroniska Laguna Amarga. Po drodze mijamy gaucho, którzy na koniach wjeżdżają pod górę. Do schroniska dochodzimy znacznie szybciej niż mamy autobus, więc zamawiamy kolejne ciepłe napoje i gramy w szachy i domino, które są do wypożyczenia w barze. O umówionej godzinie podjeżdżają busy, które dowożą turystów do bramy parku, skąd już dużymi autobusami, którymi przyjechaliśmy do parku wracamy do Puerto Natales. Tym razem przy bramie parku nie ma już z czym robić sobie zdjęć, bo Torres jak się rano przykryły chmurami, tak nadal są zasłonięte. Po przyjeździe do miasta od razu kupujemy bilet na autobus do El Calafate na następny dzień na 11 (ranny autobus nie ma już wolnych miejsc), zabieramy nasze bagaże i przeprowadzamy się do innego hostelu. Kąpiemy się, oddajemy wypożyczony sprzęt i idziemy do pralni, gdzie ładujemy dwie pralki brudnych rzeczy. Wieczorem idziemy na pyszną i zasłużoną kolację do restauracji. Po jedzeniu na polach namiotowych stek i łosoś smakują wybornie.

28.01.2014 Puerto Natales → El Calafate

Rano idziemy się przejść nad jezioro, gdzie spotykamy śliczne łabędzie o czarnych szyjach z młodymi. Psy próbują upolować małe, ale te bezpiecznie odpływają na plecach rodziców. Robimy zakupy, jemy śniadanie i o 11 wyjeżdżamy do Argentyny. Przekraczanie granicy nie zajmuje zbyt długo. Oczywiście nasze imiona na liście pasażerów są źle wpisane, ale korygujemy je u celników. Nikt tu nie potrafi zrozumieć, dlaczego kobieta może mieć inaczej zakończone nazwisko niż mężczyzna jak w naszym przypadku, bo się odmienia. Po południu dojeżdżamy do El Calafate. Nasz hostel del Glacier Pioneros jest położony niedaleko dworca, ale nieco z dala od centrum. Musimy wymienić pieniądze, więc idziemy szukać dobrego miejsca. Niestety najlepszy kurs to 9 peso za dolara, gdzie nawet w Ushuaia było 10. Wymieniamy wystarczająco dużo gotówki, kupujemy bilety do El Chalten i PN Los Glaciares u jednej firmy ChaltenTravel, dzięki czemu dostajemy zniżkę na bilety. Miasteczko jest typowo turystyczne. Pełno tu kawiarenek, restauracji i lodziarni. Dowiadujemy się jeszcze u przedstawiciela Aerolineas Argentinas, ile kosztuje bilet na samolot do Bariloche i wracamy do hostelu. Po drodze spotykamy Polkę, z którą rozmawiamy i wymieniamy doświadczenia podróżnicze do późnych godzin wieczornych.

29.01.2014 El Calafate → Lodowiec Perito Moreno

Rano wyjeżdżamy zobaczyć słynny patagoński lodowiec Perito Moreno. Pierwszy przystanek jest przy porcie, skąd można wziąć rejs pod sam lodowiec. Jak się dowiadujemy wymieniają tu dobrze dolary, więc płacąc 100 dolarowym banknotem można dostać resztę w peso po kursie 11. Korzystamy z okazji i wymieniamy w ten sposób 300 dolarów. Katamaran podpływa blisko do lodowca. Cały czas jesteśmy na zewnątrz, przechodząc między górnym a dolnym pokładem. Jest piękna, słoneczna pogoda, więc widoki są niesamowite. Jest to też najlepsza pora, żeby zobaczyć z bliska lodowiec, bo ładnie świeci słońce i jest ono idealnie ustawione, aby robić zdjęcia. Jesteśmy świadkami jak odłamują się kawałki lodowca i wpadają do wody. Towarzyszy temu spory huk, który jeszcze wiele razy będziemy mieli okazję usłyszeć tego dnia. Pełni wrażeń wracamy do portu. Na statku Przemek wymienia jeszcze 400 dolarów. Będziemy mieli za co kupić bilety lotnicze. Następnie jedziemy już do głównego centrum turystycznego z widokiem na lodowiec. Jest tu kilka wyznaczonych ścieżek, które pozwalają zobaczyć lodowiec z różnych stron. Widok tutaj różni się od tego, który widzieliśmy ze statku. Tam oglądaliśmy lodowiec z dołu a tutaj głównie z góry, czasem na równi. Słyszymy kolejne odgłosy spadających kawałków lodu do wody. Niektóre są większe, inne mniejsze. Park zwiedza dużo turystów. Spokojniej robi się dopiero kiedy poranne grupy odjeżdżają a popołudniowe jeszcze nie przyjechały. Mamy wtedy przez godzinę lodowiec prawie tylko dla siebie. Warto więc popytać, o której poszczególne firmy wyjeżdżają i o której wracają oraz o której płyną na wycieczkę statkiem, bo po południu widoki nie są już takie ładne jak rano. Ogólnie czasu jest wystarczająco dużo, żeby nacieszyć się tym cudem natury. Po powrocie do El Calafate idziemy na obiad i odpoczywamy w hostelu.

30.01.2014 El Calafate → El Chalten → Laguna Torre

Porannym autobusem wyjeżdżamy do stolicy trekkingu argentyńskiego w El Chalten. Przy wjeździe do miasta wszyscy obowiązkowo wysiadają z autobusu i słuchają propozycji pracowników parku narodowego Los Glaciares. Opowiadają oni o szlakach, które można samodzielnie przejść, pogodzie na następne dni i dają praktyczne porady oraz poręczną mapkę z czasami przejścia. Jesteśmy pozytywnie zaskoczeni, że są tak dobrze przygotowani na przyjęcie turystów. Ok. 12 dochodzimy do Hostelu Rancho Grande, zostawiamy plecaki, zakładamy buty trekkingowe i idziemy na trekking do Laguna Torre. Ścieżka rozpoczyna się w 2 miejscach w mieście w połowie i na końcu, tam gdzie mieszkamy. Wybieramy tą bliżej nas. Początkowo jest dość strome podejście pod górkę, ale dość szybko się kończy a gdy łączą się obydwa szlaki droga aż do samego końca jest już prawie po płaskim. Z pierwszego punktu widokowego widzimy, że Torres są pokryte w większości chmurami. Pogoda jest ładna, widać też inne wierzchołki, więc kontynuujemy drogę do samego końca. Po drodze spotykamy znów pięknego dzięcioła z czerwoną głową. Na końcu szlaku jest zielone jezioro, lodowiec oraz przy odrobinie szczęścia można zobaczyć Torres. Nam się jednak nie udaje. Z powrotem wracamy drugą częścią szlaku, którą jest trochę dłuższa, ale chyba nie ma tak ostrego podejścia jak to od naszego hostelu. Warto choć raz pójść tędy, bo jest tu ładny punkt widokowy na wodospad. W agencji turystycznej kupujemy Ice trekking po lodowcu Viedma na za dwa dni. Jemy kolacje i odpoczywamy w hostelu.

31.01.2014 El Chalten → Laguna de los Tres

Rano wstajemy szybko, jemy śniadanie i już o 8 jesteśmy na szlaku pod Fitz Roy. Ten szlak dla odmiany jest dłuższy, początkowo jest podejście, dla potem prawie cały czas idzie się po płaskim. Dopiero ostatnia godzina to naprawdę strome i męczące podejście. Już na pierwszym punkcie widokowym udaje nam się zobaczyć piękną górę Fitz Roy. Tak już będzie cały czas, aż do dotarcia na szczyt. Piękna pogoda pozwala nam zrobić ładne zdjęcia z góry na wierzchołek i jezioro, które znajduje się u jego podnóża. Odpoczywamy, jemy kanapki. Około 12:20 Nadciągają pierwsze

chmury. Po kolejnych 10 minutach szczytu już nie widać. Opłacało się więc wstać trochę wcześniej. Szczęśliwi wracamy leniwym tempem do miasteczka. Tam jemy obiad, odpoczywamy a wieczorem raczymy się goframi w La Wafleria. El Chalten to mała miejscowość i generalnie jest tu drożej niż w El Calafate, dlatego jeśli chce się trochę zaoszczędzić, to warto przywieźć trochę zapasów jedzenia stamtąd. Zwłaszcza, że wybór tutaj jest dużo gorszy.

1.02.2014 El Chalten → Lago Viedma → Glaciar Viedma → El Calafate

Po śniadaniu wymeldowujemy się i jedziemy na wycieczkę nad jezioro Viedma. Pogoda jest kiepska. Fitz Roya nie widać. Zaczyna kropić. Rejs po jeziorze ze względu na pogodę też nie należy do interesujących. Z łódki wysiadamy wprost na ciekawe kolorowe skały, które ukształtował lodowiec. Niestety cały czas pada, co utrudnia poruszanie się i zniechęca trochę do wycieczki. Po dojściu do lodowca zakładają nam raki i dalej już idziemy w uzbrojonych butach. Trzeba powiedzieć, że raków nie czuje się prawie wcale a poruszanie się w nich nie sprawia żadnych problemów, jest na pewno łatwiejsze niż bez nich. Przewodnicy pokazują nam różne szczeliny w lodowcu, okienka, dziury wyżłobione przez przepływające pod jeziorem rzeki. Wygląda to pięknie, zwłaszcza głęboki niebieski lód, który znajduje się wewnątrz lodowca. Sam lodowiec znacznie różni się od Perito Moreno, po którym również można odbyć taką wycieczkę. Przede wszystkim lodowiec Viedma jest znacznie brudniejszy, nanosi więcej skał i zanieczyszczeń po drodze. My zdecydowaliśmy się na niego, żeby zobaczyć inny lodowiec i pójść z mniejszą grupą, bo tu pozwoleń jest znacznie mniej niż na Perito Moreno, ale cena za obydwie atrakcje jest taka sama a sam Perito Moreno jest na pewno o wiele ładniejszy. Wracamy na statek, jemy lunch i wracamy do miasta. Jemy ciepły posiłek w hostelu, który o dziwo jest smaczny i duży i wieczornym autobusem wracamy do El Calafate, do tego samego hostelu, w którym byliśmy poprzednio.

2.02.2014 El Calafate → Bariloche

Dzień rozpoczynamy od zwiedzania Glaciarium, czyli nowoczesnego muzeum poświęconego lodowcom, zwłaszcza tym leżącym w Patagonii. Dojeżdżamy tam busikiem, który co godzinę odjeżdża z centrum Bariloche. Koszt przejazdu busikiem jest wliczony w cenę biletu. Atmosfera w muzeum jest iście mroczna, bo muzeum nie posiada okien, ale w połączeniu z odgłosami topniejącego lodowca, pozwala to na wczucie się w klimat muzeum. Poza licznymi tablicami informacyjnymi w języku angielskim i hiszpańskim, które prezentują fakty dotyczące powstawania lodowców, ich budowy, poszczególnych typów i faktów ich dotyczących, można tu także obejrzeć mnóstwo ciekawych filmów w tej tematyce, także 3D. Na końcu muzeum jest część poświęcona zagadnieniom ekologicznym i wpływie naszych działań oraz topnienia lodowców na losy świata. Muzeum jest bardzo dobrze przemyślane i ciekawe. Zdecydowanie polecamy odwiedzić to miejsce i poświęcić na nie min. 3 godziny. Po powrocie do Bariloche postanowiliśmy pójść na spacer po Lagunie Nimez. Jest to rezerwat przyrodniczy właściwie w centrum miasta, w którym swoje mieszkanie ma wiele gatunków pięknych, ciekawych ptaków. Potrzeba około 2 godzin na spokojne przejście całej trasy krajoznawczej. Wzdłuż trasy są tabliczki informacyjne, pozwalające dostrzec te ptaki, które najczęściej zamieszkują te tereny. Jest także punkt widokowy na jezioro Nahuel Huapi, gdzie można zobaczyć kolonię flamingów oraz specjalne budki do obserwowania ptaków. To miejsce również nas bardzo pozytywnie zaskoczyło, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę, że nie potrzeba wiele czasu, aby je zwiedzić, jest to tania przyjemność i w środku miasta. Później wróciliśmy do hostelu, skąd shuttlem pojechaliśmy na lotnisko. Przy odprawie tak się grzebali, że po przejściu przez kontrolę praktycznie od razu musieliśmy wsiadać do samolotu. Przy wylocie należy również zapłacić opłatę wyjazdową, która nie jest uwzględniona w cenie biletu. Po przylocie miejskim autobusem, odjeżdżającym spod lotniska dojechaliśmy do samego centrum, gdzie

znajdował się nasz hostel. Po uzyskaniu wszelkich potrzebnych informacji na najbliższe dni, poszliśmy na 20 do katedry na Mszę Świętą. Po jej zakończeniu nareszcie mogliśmy pójść coś zjeść, wygodniali po całym dniu intensywnego zwiedzania i braku czasu na obiad.

3.02.2014 Bariloche → Circuito Chico

Bariloche jest reklamowane jako Szwajcaria w Argentynie. Centro Civico, z kamiennymi budynkami rzeczywiście może przywołać na myśl alpejskie klimaty. Obowiązkowo pod ratuszem odpoczywały sympatyczne bernardyny, znak firmowy tego miejsca. Przed wyjazdem na całodniową wycieczkę rowerową postanowiliśmy przejść się po mieście w poszukiwaniu wymiany pieniędzy oraz wypożyczalni samochodów. Jeśli chodzi o to pierwsze, to udało nam się bardzo dobrze wymienić pieniądze w Andino obok Centro Civico na Av. Mitre, natomiast samochód na następny dzień najtaniej udało nam się wypożyczyć w wypożyczalni Hertz. Następnie pojechaliśmy miejskim autobusem pod górę Cerro Campanario. Postanowiliśmy wjechać na górę wyciągiem. I dobrze zrobiliśmy, bo nie tylko zaoszczędziliśmy dużo czasu, to jeszcze nie byliśmy zmęczeni w czasie późniejszej jazdy rowerem. Widoki z góry są wspaniałe. Panoramom nie było końca. Właściwie z każdej strony góry było coś ciekawego do uchwycenia. Myślę, że widok z tej góry jest tym, co najlepiej oddaje charakter całej okolicy: góry i jeziora w przepięknej mieszance. Okolica ta jest również bardzo zielona w porównaniu z południem Argentyny. Na górze znajduje się też kawiarenka (warto wejść na taras ponad nią), w której można się posilić i napić czegoś ciepłego. Po zjeździe poszliśmy do wypożyczalni rowerów (są dwie do wyboru), gdzie dostaliśmy cały sprzęt oraz mapkę małego kółka. Ogólnie trasa nie jest trudna. Owszem są kawałki ostrego podjazdu pod górę, ale zawsze wtedy można na chwilę zejść z roweru i go podprowadzić kawałek. Ja nie należę do zapalonych rowerzystów i na rower wybieram się zwykle 2 razy w roku a spokojnie i w dobrym tempie przejechałam całość. Być może pomogła kondycja nabyta podczas trekkingów na południu Ameryki Południowej. Poza tym główna droga jest wyasfaltowana, jedynie boczne ścieżki są szutrowe. Minusem trasy są jeżdżące autobusy i samochody, ale nie w jakiejś zatrważającej ilości. Trasa wiedzie od pętli przez mały, górski, drewniany kościółek św. Edwarda, hotel Llao Llao, liczne jeziora i punkty widokowe. Po drodze jest też kilka miejsc, w których robi się krótkie trekkingi (m.in. do drzew arrayan o czerwonej korze) oraz wiele kawiarenek czy barów, w których można się zatrzymać. Nam się udało zjeść na jednym z przystanków chyba najlepsze maliny w życiu. Tak intensywnego smaku nie mają polskie, hodowlane odmiany. Po oddaniu rowerów chcieliśmy jeszcze wjechać na Cerro Otto, ale niestety nie zdążyliśmy już przed zamknięciem kolejki. Bardzo ważną kwestią podczas pobytu w Bariloche jest posiadanie karty na przejazdy autobusem. My mieliśmy to szczęście, że w naszym hostelu można je było wypożyczyć za darmo. Co więcej, nasza karta była załadowana przez poprzednich turystów na sporą kwotę, także cały dzień jeździliśmy we dwójkę za darmo a jeszcze sporo pieniędzy na niej zostało. Warto, więc szukać hosteli, które wypożyczają karty, bo nie trzeba wówczas załatwiać formalności z tym związanych (a nie istnieje możliwość zakupienia pojedynczych biletów na przejazd bez karty).

4.02.2014 Bariloche → Ruta de los siete lagos

Zgodnie z ustaleniami z poprzedniego dnia punktualnie o 9 stawiliśmy się w biurze Hertz. Niestety tak się obsługa grzebała, że wyjechaliśmy dobrze po 9:30 z Bariloche. Naszym celem była krajobrazowa droga wzdłuż siedmiu jezior (Machónico, Escondido, Correntoso, Espejo, Lácar, Falkner, Villarino) aż do San Martin de los Andes. Samochód mieliśmy oddać o 20, więc czasu na leniuchowanie nie było, bo to sporo kilometrów do pokonania (ponad 300 w dwie strony), wiele atrakcji po drodze do zobaczenia i do tego momentami brakuje na tej drodze asfaltu, choć wydaje

się, że za kilka lat cała droga powinna być już wyasfaltowana. Pierwszy większy przystanek zrobiliśmy w miasteczku Villa la Angostura. Tu zjechaliśmy aż nad wybrzeże, gdzie są dwa urocze porty z molo. Stąd też odpływają statki do Parku Narodowego Arrayanes. My niestety nie mieliśmy czasu i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Po drodze jest wiele punktów widokowych, plaż, pól namiotowych, na których można się zatrzymać, odpocząć, zjeść lunch. Nam szczególnie spodobał się punkt widokowy, z którego było widać mały cypelek na jeziorze z zaciszną, małą plażą. Idealne miejsce na relaks. Poza tym po drodze ogląda się także wodospady (niezbyt imponujące) oraz rzeki. Z całej wyprawy najlepiej jednak podobała mi się sama miejscowość San Martín de los Andes. Widać, że to turystyczna mekka, ale jednocześnie bardzo przyjemna. Może dlatego, że jest o wiele mniejsza od Bariloche, ma spokojną plażę. Przeszliśmy się główną ulicą miasta, które ma ciekawą (trochę góralską) zabudowę) i zjedliśmy obiad w restauracji przy plaży (obowiązkowo różowy pstrąg, który jest tu specjalnością). Zbliżała się już prawie 17, gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną. Pierwotnie chcieliśmy wracać inną drogą, żeby zobaczyć jeszcze jedno jezioro, ale zaczęło padać i zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Poza tym okazało się, że ledwo starczyło nam czasu, żeby do 20 oddać samochód. Cieszyliśmy się, że rano udało nam się zwiedzić tak dużo, bo w deszczu nie chciałoby się nam nawet wysiadać. Po oddaniu samochodu postanowiliśmy sprawdzić jak smakują słynne czekoladki z Bariloche. Zrobiliśmy prawdziwe tournée przez Mamushka, Abuela Goye i Del Turista. Z tych wszystkich najlepsze wyroby naszym zdaniem ma ta pierwsza firma. Dzień zakończyliśmy lodami w Helados Jauja, najlepszej lodziarni w mieście.

5.02.2014 Bariloche → Ancud

Taksówką podjeżdżamy na dworzec autobusowy w Bariloche, skąd odjeżdżają autobusy dalekobieżne. Nasz jedzie do Puerto Montt, bo nie ma bezpośrednich do Chiloe. Prawie cały autobus wypełniony jest turystami. Pogoda jest bardzo zmienna, raz pada, raz świeci słońce. Na granicy okazuje się, że nie wpisali nas do komputera jak ostatnio wjeżdżaliśmy do Argentyny i musimy czekać na zgodę kierowniczkę na wbięcie pieczętki wyjazdowej. Na szczęście nie mamy większych problemów poza odstaniem swojego. Po drodze mijamy wodospady i wielkie połacie łąk, na których pasą się dorodne krowy. W Puerto Montt okazuje się, że na autobus do Castro musielibyśmy czekać aż 3 godziny a zaraz odjeżdża autobus do Ancud, więc zmieniamy plany i najpierw postanawiamy odwiedzić to miejsce. Po drodze mamy przeprawę promowa, Chiloe to wyspa i taki klimat na niej właśnie czuć. Zatrzymujemy się w hostelu 13 lunas na przeciwko dworca, który z całego serca możemy polecić. Jeden z lepszych, w jakich w tej podróży się zatrzymywaliśmy. Zarówno w hostelu jak i w mieście sprzedają wycieczki do kolonii pingwinów, najtaniej jest w biurze podróży na dworcu i tam kupujemy naszą wycieczkę. Idziemy do muzeum Centro de Visitantes Inmaculada Concepcion, gdzie możemy we wnętrzu odnowionego kościoła zobaczyć najpiękniejsze miniatury kościołów Chiloe, z których wyspa słynie. Jest po południu, więc słońce ładnie przebija przez witraże. Można tu także wejść na wieżę, co w pozostałych, czynnych kościołach nie jest możliwe. Idziemy na spacer po mieście wzdłuż wybrzeża, do fortu San Antonio i na plażę, która mieści się na jego tyłach. Robimy zakupy w markecie Unimarc i idziemy na kolację do polecanej restauracji Kuranton. Ja zamawiam lokalne danie curanto a Przemek rybę. Jak nam przynoszą to jestem zaskoczona, bo moim daniem spokojnie najadłyby się dwie osoby. To danie składa się z różnych rodzajów mięs (golonka, kiełbasa, kurczak) i owoców morza (dwa rodzaje wypasionych muszli). Do tego ziemniaki, placek ziemniaczano-mączny i trzeci taki jakby z kaszy manny. Nie jestem w stanie skończyć swojego dania nawet z Przemka pomocą.

6.02.2014 Ancud → Monumento Natural Islotes de Peñihuil → Castro

Od rana mamy kiepską pogodę, pada, jest pochmurno. W hostelu odwołują wycieczkę, ale z naszego biura wycieczka się odbywa, choć zastrzegają, że jak dojedziemy na plażę to może się okazać, że rejs na wyspy się nie odbędzie. Ryzykujemy, bo nie chcemy więcej dni poświęcać na zobaczenie pingwinów. Na miejscu okazuje się, że wycieczka mimo pogody się odbędzie. Dostajemy płaszcze przeciwdeszczowe, dowożą nas na łódkę na wózku i jedziemy. Niestety cały czas pada. Do naszej łódki pod pływa śliczna wydra morska, która ewidentnie chce się z nami bawić. Potem po kolei popływamy do kolejnych wysepek, gdzie są pingwiny. Niestety widzimy tylko pingwiny Magellana, a nie Humboldta, które przyjechaliśmy tu zobaczyć. Widzimy także dwa lwy morskie i dużo ładnych ptaków. Po powrocie jedziemy na lunch do miejscowej knajpki, gdzie zamawiam pyszną i wielką empanadę z krabem królewskim. Przed 15 wracamy do Ancud, kupujemy bilety na autobus do Castro i jedziemy. Już po wjeździe do miasta widzimy piękny i duży kościół, znajdujący się na liście UNESCO. Nie da się go przeoczyć. Elewację ma żółtą a dach i ornamenty fioletowe. Nieźle połączenie. Zatrzymujemy się niedaleko dworca, zostawiamy plecaki i idziemy zwiedzać miasto. Kościół jest pełny turystów, miejscowych i zagranicznych. Niestety niektórzy nie potrafią się zachować. Jedna kobieta weszła nawet z psem. Żal że nie ma strażników. Idziemy do palafitos Gamboa, ale i tu spotyka nas deszcz. Jak na razie to chyba najgorszy dzień, jeśli chodzi o pogodę. Szukamy agencji, która zabrałaby nas na wycieczkę po kościołach następnego dnia, ale albo jadą tylko do niektórych miejsc, które nas interesują albo ceny mają z kosmosu (29000 od osoby). Postanawiamy, że pojedziemy na własną rękę. Jemy na kolację kolejne pyszne empanady. Tym razem miejscowe kobiety sprzedają to, co upiekły w domu. Moja empanada z jabłkami jest wyśmienita. Przemek bierze neapolitanę.

7.02.2014 Castro → Achao → Dalcahue → Chonchi → Nercon

Wyspani autobusem o 10:00 jedziemy do Achao. Po drodze mamy krótką przeprawę promową na wyspę. Dojazd zajmuje nam ok. 1 godz. 15 min. Autobus wysadza nas pod samym kościołem. Cieszymy się, że jest otwarty, bo w przewodniku pisali, że nie i trzeba szukać pani z kluczem. Może to dlatego, że akurat sprzątają w kościele albo po prostu już się to zmieniło. Jest kilku turystów, ale raczej miejscowych niż zagranicznych no i niewielu w porównaniu do Castro. Kościół także różni się od tego w Castro. Jest mniejszy, elewacja jest naturalna, niepomalowana, wewnątrz jest dość puste. Zwiedzanie nie zajmuje dużo czasu. Dziś przynajmniej mamy ładną pogodę w porównaniu do wczoraj. Jedziemy do Dalcahue. Tutaj najpierw idziemy na miejscowy targ, na którym lokalne kobiety sprzedają własne wyroby z owczej wełny. Miejsce jest autentyczne. niektóre kobiety siedzą i cały czas pracują, robiąc kolejne czapki i swetry na drutach. Są też w sprzedaży książki o magii, która tutaj na wyspie razem z wiarą w duszki kultywowano. Wchodzimy do darmowego muzeum, w którym można zobaczyć wypchane zwierzęta i historyczną łódź, od której miejscowość wzięła swoją nazwę. Kościół jest w remoncie do 2015 roku. Zerknęliśmy do środka przez uchyloną bramę i wyglądało to tak jakby połowę kościoła rozebrano. Całość podpierały drewniane belki. Próbujemy dojechać do Tenaun, ale nie możemy znaleźć skąd i o której odjeżdżają busy. Z Castro jeżdżą tylko 2 razy dziennie, więc nie jest łatwo tam dotrzeć. Wracamy do Castro i bierzemy kolejny autobusik do Chonchi. Tu jest niebiesko żółty kościółek, też na UNESCO. W środku podobnie jak w innych jest figura, niezbyt udana Ojca Pio. Widać, że jest tu szczególnie czczony. Stamtąd jedziemy do Nercon. Kościół został dopiero co odnowiony. Inaczej niż pozostałe znajduje się w ogrodzie a nie na placu, za nim jest również cmentarz. Dookoła biega sympatyczny bernardyn. Kościół lepiej wygląda z zewnątrz niż wewnątrz. Może tylko tak go odnowili. Wracamy do Castro. Idziemy jeszcze raz do palafitos Gamboa, potem do darmowego muzeum regionalnego. Robimy sobie drzemkę, jemy obiad, zwiedzamy palafitos Montt i idziemy na główny plac, na którym jest koncert a miejscowa ludność się bawi tańcząc. Tym sympatycznym akcentem kończymy nasz pobyt w Chiloe.

8.02.2014 Castro → Pucon

Rannym autobusem jedziemy do Puerto Montt. Na miejscu kupujemy bilety na dalszą podróż w firmie JAC, która jako jedyna jeździ do Pucon z tego miasta. W autobusie kładziemy plecak na górną półkę. Niestety ktoś wykorzystuje to, że czytamy książki i podmienia nasz plecak na pusty, wypełniony butelką po picu i reklamówkami. Prawdopodobnie widzieliśmy nawet tego faceta. Orientujemy się dość szybko, ale nic już nie możemy zrobić, bo autobus zdarzył odjechać. Poza tym gdzie szukać w mieście taką osobę. Rozgoryczeni, bo straciliśmy komputer z naszymi wszystkimi zdjęciami z podróży na Antarktydę oraz po Ziemi Ognistej i Patagonii, kartkami, danymi Przemka do pracy, przewodnikiem po Argentynie, słownikiem, lekami i ładowarkami. Nie możemy uwierzyć, że tak się daliśmy oszukać. Zwykle plecak leżał pod nogami, ale tym razem nie było miejsca i wrzuciliśmy go na górę. Na dodatek autobus się psuje pod Villaricą. Musimy wysiąść i zmienić autobus. Po dotarciu na miejsce kupujemy wycieczkę w hostelu One Way, gdzie śpimy. Po całym tym zdarzeniu nie mamy nawet siły chodzić i szukać tańszych cen czy ofert innych firm. Właścicielka hostelu oferuje się, że pójdzie z nami na policję zgłosić całe zdarzenie. Po drodze idziemy przymierzyć ubrania do firmy, z którą będziemy się wspinali na Villaricę. Dostajemy spodnie i kurtkę. Buty mamy swoje, ale też dają w razie potrzeby. Wyposażają nas także w plecak. Na policji nie działają zbyt szybko, ale jakoś udaje nam się zgłosić szkodę. W poniedziałek za 2 dni mamy odebrać kopię raportu. Idziemy na zakupy. Kiepsko w nocy śpimy, bo nerwy nas nie opuszczają.

9.02.2014 Pucon → Wulkan Villarrica

Wstajemy o 5:40. Jemy śniadanie i o 6:30 odbiera nas busik z hostelu. Jedziemy do biura. Tu czekają na nas przygotowane plecaki z ekwipunkiem - spodnie, kurtka, rękawice 2 pary, raki, toporek, kask, jabłko do zjeżdżania, podkładka pod tyłek do zjeżdżania, ochraniacze na spodnie. Dorzucamy jedzenie i picie, które przynieśliśmy i jedziemy do Parku Narodowego Villarrica. Jako jedyni podwiezieni zostajemy pod sam wyciąg. Część idzie pieszo, my decydujemy się na wjazd kolejką do pierwszego punktu na szlaku, żeby mieć więcej sił na później. Widoki są piękne już stąd. Widać okoliczne wulkany, jezioro Villarrica, Pucon. Przy górnej stacji kolejki jest ostatnia szansa na skorzystanie z toalety. Później niestety nie ma już takiej możliwości. Góra jest odkryta, więc jeśli nie chce się wystawiać tyłka przed 200 osobami, które się wspinają trzeba wytrzymać aż do zejścia. Ruszamy w górę podpierając się toporkiem. Początkowo idzie się po ziemi wulkanicznej. Poruszamy się wolno, w sznureczku za przewodnikiem. Dzięki temu nie męczymy się prawie w ogóle. Gdy dochodzimy do granicy śniegu, zakładamy raki. Z nimi chodzi się łatwo i nie ślizga po lodzie. Po drodze na szczyt zatrzymujemy się 3 razy. Więcej nie trzeba, bo podejście, choć strome nie jest wcale takie złe. Po drodze mijamy turystów, którym źle założono raki i muszą je poprawiać, bo się obsunęły. Nasza grupa jest mała więc dość szybko idziemy, wyprzedzamy inne grupy pod górkę. Tłum ludzi jest straszny, wszyscy idą gęsiego. Przemek czuje, że powietrze staje się coraz rzadsze. Ja nie odczuwam nic, wyjątkowo się nie męczę. Może to wczorajsze nerwy albo fakt, że przeszliśmy już tyle kilometrów po Andach. Nie wiem. Dla mnie to była najłatwiejsza wspinaczka. Na szczycie czuć mocno siarkę, która wydobywa się z wulkanu. Obchodzimy go prawie dookoła, jemy lunch i szykujemy się do zjazdu, bo z tej góry się nie schodzi, z niej się zjeżdża. Cały dzień mamy piękną pogodę i doskonałą widoczność. Zjazd jest świetną zabawą. Początkowo nie mogłam sobie tego wyobrazić. Górka jest stroma, ale w tych miejscach jedzie się na tyłku. W pozostałych na jabłuszku. Z każdym kolejnym kawałkiem coraz bardziej ta zabawa nam się podoba. Dzięki temu dość szybko jesteśmy też na dole. Ostatni kawałek pod kolejką linową, gdzie nie ma śniegu schodzi się już na pieszo. Zachwyceni wracamy do miasta, bierzemy prysznic i idziemy się przejść po

mieście. Kupujemy bilety na nocny autobus do Valparaiso na następny dzień, wycieczkę do gorących źródeł i bilet na samolot do Arici. Idziemy na plażę, która jest zapełniona maksymalnie. Dosłownie ciężko dojsć do wody. Widać, że Chilijczycy mają wakacje. Kapią się, plażują. Idziemy do klasztoru położonego nad miastem. Robimy zakupy i rezerwujemy noclegi na dalszą część podróży.

10.02.2014 Pucon → Termas Geometricas → Valparaiso

Do południa załatwiamy kopię raportu policyjnego i sprzęt potrzebny do zdjęć na dalszą podróż. O 12:00 z plecakami jedziemy na wycieczkę do gorących źródeł, z których słynie okolica. Jest ich tu bardzo dużo, więc można wybierać. Termas Geometricas były polecane na pierwszym miejscu w naszym przewodniku, więc decydujemy się sami sprawdzić, czy rzeczywiście warto tam pojechać. Wycieczkę kupiliśmy w tym samym biurze, co wspinaczkę na wulkan, czyli Araucania Tours, którą polecamy zwłaszcza na wulkan, bo biorą małe grupy, do 6 osób i dają 2 przewodników. Naprawdę nikt nie chciałby iść na wulkan w grupie 20 osób. Dostajemy po 5000 peso zniżki od osoby na druga wycieczkę. Zawsze warto się więc zapytać czy kupując dwie wycieczki dostaniemy rabat. Dojazd do źródeł zabiera nam ponad 2 godziny. Sporo. Po drodze zatrzymujemy się na 2 punktach widokowych na wulkan. Na źródła dostajemy 3 godziny. Dla nas był to wystarczający czas. Wydaje nam się, że dłużej to nawet nie jest zdrowo siedzieć w tak ciepłej temperaturze. Źródła umiejscowione są wzdłuż doliny. Jest tu kilkanaście basenów. Mniejszych i większych. Przy każdym na tabliczce pisze jaka jest temperatura w środku, między 35 a 41 stopni, więc można na zmianę chodzić do cieplejszych i zimniejszych miejsc. Są tu też dwa wodospady z zimną wodą, 8 stopni, gdzie można się ochłodzić. Roślinność jest bardzo ładna, zadbana i egzotyczna, zwłaszcza jedna roślina mi się podoba. Ma wielkie liście, które tworzą jakby parasol nad nami. Ogólnie obszar źródeł nie jest wielki i dużo czasu nie trzeba, aby obejść wszystko. Najbardziej podoba nam się jak zrobiono toalety, gdzie zamiast kranu nad umywalka płynie woda prosto ze strumienia niczym mini wodospad. Całość jest urządzona gustownie, więc dlatego pewnie to miejsce jest tak polecane. Po wspinaczkę na wulkan, dzień leniuchowania w gorących źródłach też jest dobrym pomysłem. Nie wiemy tylko dlaczego wstęp tu jest taki drogi. Jeśli macie swój samochód, to nie trzeba kupować wycieczki. Nie jest potrzebny 4x4, wystarczy zwykły. Ostatnie 17 km jest po szutrze. Wracamy ok. 19 do Pucon. Okazuje się, że dworzec firmy Tur-Bus przeniesiono w inne miejsce niż mamy zaznaczone na mapce. Autobus jest bardzo wygodny, siedzenia się dobrze rozkładają, więc nawet udaje nam się zasnąć. To dobrze, bo przed nami cała noc w drodze do Valparaiso.

11.02.2014 Valparaiso

Przed 8 dojeżdżamy do Valparaiso. Miasto jeszcze śpi. Łapiemy autobus jadący w kierunku Aduana i prosimy kierowcę, żeby nas wysadził na ul. Malgarejo. stąd już blisko mamy do naszego hostelu Angel, który jest bardzo przyjaznym miejscem. Bieremy prysznic, jemy śniadanie i postanawiamy pójść na darmowe oprowadzanie po mieście organizowane przez Tours4Tips. Nigdy nie braliśmy udziału w takim zwiedzaniu, ale postanawiamy dać im szansę. Zwiedzanie z grupą zajmuje 3 godziny i zaczyna się o 10 rano i 15, także można wybrać w zależności od tego kiedy się przyjechało do miasta. Zaczyna się na Plaza Sotomayor, na którym znajduje się imponujący budynek marynarki wojennej. Oprowadza nas po mieście urodzony w Valparaiso chłopak i amerykanka, która się tu przeprowadziła z mężem kilka miesięcy temu. Najpierw idziemy do portu, gdzie przewodnicy opowiadają nam znaczenie miasta jako głównego portu z Europy na zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych w czasie gorączki złota, a także jakie były koleje losu miasta po przekopaniu kanału panamskiego. Idziemy pod pomnik Arturo Prato i dowiadujemy się, dlaczego jest tak popularna osoba w Chile (jego wizerunek znajduje się nawet na banknocie o nominale 10000 peso), choć

decydującą batalię swojego życia przegrał. Idziemy później na słynne kolorowe schody i do starego domu, który w czasach świetności należał w całości do jednej rodziny i służył, jako domek wakacyjny. Nawet dziś, choć podupadły robi wrażenie, gdy się wejdzie do środka. Ma przepiękne zdobienia ścian, schodów i drzwi. Schody pokryte są zielonym onyxem. Można sobie wyobrazić jak musiało to wyglądać wcześniej. Uświadamiamy sobie, że nie przyszlibyśmy tutaj, gdybyśmy nie poszli na zwiedzanie z przewodnikiem. Dalej zabierają nas windą El Peral na Cerro Alegre. To nasze pierwsze doświadczenie z tymi starymi windami, które od ponad 100 lat służą mieszkańcom do dostania się bez zadyszki do wyżej położonych partii miasta. Na górze znajduje się muzeum sztuk pięknych w domu Chorwackiego bogacza Pascuala Baburizy. Dom ma ciekawą architekturę, a dach w jednym miejscu przypomina nawet kapelusz czarownicy. Z wszystkich budynków w mieście ten podobał nam się najbardziej. Dalej idziemy na chilijskie ciasteczka alfajores do zwykłego domu mieszkalnego, w którym go wyrabiają domownicy, mijamy kolejne ciekawe domki, murale i dochodzimy do Cerro Concepcion i Paseo Atkinson, skąd podziwiamy legalne murale Inti i drugi najładniejszy domek w mieście, nazwany przez nas domkiem na skarpie ze względu na swoje położenie. Idziemy też do kościoła luterańskiego, gdzie dowiadujemy się, w jaki sposób w mieście powstał kościół anglikański bez krzyża, luterański z krzyżem i katolicki z dwoma krzyżami. Schodzimy schodami pomalowanymi jak klawisze pianina na plac Anibal Pinto i wsiadamy do starego trolejbusu, którym dojeżdżamy do Plaza Victoria. stąd idziemy do muzeum pod otwartym niebem, które jednak nie robi na nas dużego wrażenia. Tu kończymy naszą wycieczkę, dostajemy wiele rekomendacji, co i gdzie można zjeść i zobaczyć w mieście. Idziemy stamtąd w górę do muzeum-domu Pablo Nerudy. Korzystając z audio-przewodnika można się dużo dowiedzieć zarówno o zgromadzonych w La Sebastiane przedmiotach, jak i samym poecie, laureacie nagrody Nobla. Z okien domu rozpościera się piękny widok na okolice i całe Valparaiso. Są tu nawet zdjęcia Nerudy z Pablo Picasso w Warszawie. Schodzimy na dół i idziemy do polskiej cukierni, następnie na emapanadę do Don Otto i na obiad do Bar Renato, gdzie kupujemy najtańsze menu del dia w tej podróży za 3000 peso od osoby. Wracamy do centrum i tym razem samodzielnie przechodzimy się po mieście wracając m.in. do muzeum sztuk pięknych, które tym razem zwiedzamy w środku. Dom został odnowiony rok temu. Same obrazy nas nie zachwycają. W Europie takich muzeów mamy na pęczki, ale piękna stolarka i kominki robią nawet na nas wrażenie. W jednym miejscu można nawet przejść z jednego piętra na drugie bez schodów. Idziemy na cmentarz, ale niestety jest zamknięty. W nagrodę za wspinaczkę idziemy na lody do Emporio la Rosa na placu Anibal Pinto, jest to jedna z 25 najlepszych lodziarni na świecie. Kupujemy pół litra lodów. Z wybranych smaków najsmaczniejsze są marakujowe - serdecznie polecamy. Wracamy do hotelu, po drodze jedząc mega hot-dogi, które tutaj nazywają italiano completo, co oznacza, że są z pomidorem, awokado, keczupem, musztardą, majonezem a czasem także kiszona kapusta. W całym Chile to dość popularne szybkie danie. Wieczorem decydujemy się jeszcze raz przejść po mieście. Wjeżdżamy windą Reina Victoria. Tutaj są ładnie podświetlone murale. Idziemy jeszcze raz na Paseo Atkinson, skąd podziwiamy panoramę miasta nocą. Bardzo serdecznie polecamy to miejsce, zwłaszcza zakochanym.

12.02.2014 Valparaiso → Viña de Mar → Santiago de Chile

Po śniadaniu jedziemy autobusem do Viña de Mar. Obydwie miejscowości są blisko siebie więc przejazd zajmuje z 10-15 min. a taryfa jest niewiele większa niż po mieście. Nasze pierwsze kroki kierujemy do muzeum Fonck, przed którym stoi oryginalny, przywieziony z Wyspy Wielkanocnej moai. Całe muzeum to taka namiastka tego ciekawego archipelagu. Można pooglądać tu wiele przedmiotów z wyspy oraz dowiedzieć się po co i w jaki sposób te tajemnicze figury pojawiły się na wyspie, a także dlaczego niektóre leżą na ziemi. Poza tym muzeum zawiera cały dział dotyczący prehistorycznej działalności człowieka na terenie dzisiejszego Chile, a także sąsiednich krajów.

Sporo tu wyrobów garncarskich, masek, biżuterii, a także niesamowicie ciekawych małych zasuszonych główek, które są autentycznymi głowami odciętymi przeciwnikom przez miejscowe plemiona, następnie zdejmują skórę, gotują i formują nowe mniejsze czaski. Jest tu także mumia a na piętze chilijskie wypchane zwierzęta i wszelkiej maści robactwo. Idziemy dalej do centrum i do parku Quinta Vergana, w którym znajduje się piękny, ale w strasznym stanie pałac Vergara. Obecnie trwają prace renowacyjne w pałacu, więc za jakiś czas powinien być już ładnie odnowiony. Podjeżdżamy busem do zegara z kwiatów, który autentycznie wskazuje aktualną godzinę i idziemy do Castillo Wulff. Pałacyk jest darmowym muzeum. Obok niego na skałach siedzą piękne pelikany i kormorany. Wracamy do Valparaiso, zabieramy plecaki i jedziemy do Santiago. Tu już na dworcu czujemy, że przyjechaliśmy do prawdziwego miasta. Metrem dojeżdżamy w pobliże hostelu Providencia, który serdecznie możemy polecić. Zostawiamy nasze rzeczy i idziemy na pierwsze zwiedzanie miasta. Kolejką-windą funicular wjeżdżamy na Cerro San Sebastian, skąd rozpościera się wspaniały widok na całe miasto. Na górze jest posąg Maryi Niepokalanie Poczętej i małe sanktuarium. Jan Paweł II odprawił tutaj Mszę Świętą w czasie wizyty w Chile. Po drodze wstępujemy do Taco Bell i robimy zakupy.

13.02.2014 Santiago de Chile

O 10 spotykamy się z przewodnikiem z Tours4Tips pod muzeum Bellas Artes. Jesteśmy zadowoleni z ich usług w Valparaiso, więc postanawiamy skorzystać i tutaj. Muzeum jest akurat zamknięte ze względu na wakacje. Trochę to dla nas dziwne, bo w Polsce pewnie najwięcej turystów jest podczas wakacji w różnych muzeach, ale co kraj to obyczaj. Idziemy do dzielnicy Esmeralda, gdzie oglądamy kolonialny domek, który przypomina nam bardzo mocno domy na Kubie. Dalej idziemy do marketu rybnego - Central Market. Cała środkowa jego część jest w zasadzie częścią restauracyjną. Właściwa sprzedaż odbywa się po zewnętrznej stronie marketu. Widzimy też zabytkową fasadę dawnej stacji kolejowej Estacion Mapucho, która aktualnie jest odnawiana i idziemy na Tirso de Molina Market. Tu sprzedają fantastyczne soki owocowe a całe piętro jest podzielone na różne restauracje. Można tu zjeść potrawy kuchni tajskiej, meksykańskiej, peruwiańskiej, chilijskiej i inne. Następnie płynnie przechodzimy na 2 stronę ulicy do La Vega Central Market, gdzie sprzedawane są głównie owoce i warzywa. Akurat jest sezon na maliny, truskawki, borówki, jeżyny, więc korzystamy i kupujemy owoce oraz świeżo wyciskane soki. Stamtąd jedziemy na Cementerio General. Tutaj dowiadujemy się, że nisze, które sądziliśmy, że służą do pochówków urnowych są normalnymi grobami z trumnami i są najtańszym sposobem pochówku. Idziemy do grobu bezdomnego o imieniu Romualdito, który zmarł w 1933 roku, a którego miejscowa ludność uważa za rodzaj świętego i do którego przychodzi się modlić. Jesteśmy nieco zdziwieni, ale widzimy dużo kwiatów, świeczek oraz tabliczek z podziękowaniami, np. za dar poczęcia dziecka. Później widzimy jeszcze jeden taki grób na cmentarzu, przy którym mnóstwo jest kwiatów, prezentów oraz tabliczek z podziękowaniami. Podobno takie osoby najczęściej giną w tragicznych okolicznościach. Widzimy też grobowce z okresu świetności cmentarza, czyli lat 20-30 XX w. Są w różnych stylach. Niektóre są niczym miniatura Taj Mahal czy piramida Majów. Idziemy też na groby znanych polityków Salvadora Allende, który był prezydentem przed rządami Pinocheta oraz José Manuela Emiliano Balmacedy, który za swoich rządów prezydenckich przyczynił się do wypromowania nowego systemu edukacji. Po zakończeniu oprowadzania, z którego jesteśmy bardzo zadowoleni wracamy na Tirso de Molina Market do knajpki meksykańskiej. Fajitas i quesadilla były wyborne. Na dodatek na dole zamawiamy duże soki owocowe. Najedzeni i opici idziemy na popołudniowe zwiedzanie z Tours4Tips. Niestety ta trasa rozczarowuje nas bardzo i nie polecamy jej zbyt. Co prawda miejsca, do których zostajemy zabrani są bardzo ciekawe, ale nie ma czasu ich dokładnie zobaczyć. Zaczynamy od kolejnych murali Inti na zewnątrz stacji metra Bellas Artes. Nie są one jednak tak ładne jak te w Valparaiso.

Przedstawiają boginie i boga dobrobytu z wszystkimi atrybutami takiego stanu jakie są możliwe, czyli pieniędzmi, kukurydzą, papierosami etc. Potem idziemy w kierunku plaza de Armas. Na placu trwają prace restrukturyzacyjne, więc nie można nawet przez niego przejść. Za rok ma być oddany do użytku i oczywiście pięknie oświetlony i bardziej zielony - tak przynajmniej wygląda to na poglądowych zdjęciach wywieszonych na płocie. Wchodzimy do katedry, która ma bardzo bogate wnętrze. Widać, że wiele ludzi się modli, cześć się spowiada, że to miejsce kultu a nie tylko turystyczna atrakcja. 5 minut jakie daje nam przewodnik to raptem tyle by przejść katedrę spokojnie z jednego końca na drugi. Przechodzimy obok muzeum sztuki prekolumbijskiej wchodzimy do centrum handlowego. Tu słyszymy bardzo ciekawą historię o tym jak Chilijczyków zachęcano do picia kawy. W kraju tym pije się, bowiem głównie herbatę. Kawa nie jest tu celebrowana jak w innych krajach Ameryki Południowej czy Środkowej. Wymyślono więc, że do kawiarni będą ściągali klientów kobiety w miniówkach. Są oczywiście różne stopnie Café con piernas, jak się nazywa ta instytucja. W niektórych kobiety chodzą topless, w bikini a nawet możliwe jest połączenie kawiarni z prostytutką. O stopniu zaawansowania świadczą zwykle przyciemnione lub częściowo zakryte szyby kawiarni. Dalej idziemy do Palacio la Moneda, czyli pałacu prezydenckiego, który zbombardowano i w którym znaleziono ciało martwego prezydenta Allende. Przechodzimy przez ciekawą ulicę Nowy Jork, która rzeczywiście może przypominać to miasto i idziemy w okolice dzielnicy Paryż-Londyn, gdzie mijamy także kościół Św. Franciszka. Kościół budowano 300 lat, bo za każdym razem, gdy kończono jego budowę, trzęsienie ziemi go burzyło. Podchodzimy do Cerro Santa Lucia, ale nie wchodzimy na szczyt i idziemy dalej do Centro Gabriela Mistral, tu oglądamy również budynek jedynie z zewnątrz. Ostatnim przystankiem jest dzielnica bohemy Lastarria. Kończymy przy kościele Opus Dei. Jednym słowem niby dużo, ale niedosyt pozostaje. W zasadzie do większości miejsc musielibyśmy wrócić. Zobaczymy na co nam pozwoli czas następnego dnia. Kończymy dzień lodami w Emporio la Rosa i poszukiwaniem, bezskutecznym, przewodnika po Argentynie.

14.02.2014 Santiago de Chile → Iquique

Rano jedziemy do Muzeum de la Memoria, nowego muzeum, które upamiętnia przewrót wojskowy i rządu Pinocheta w kraju. Na mapce LP muzeum jest źle zaznaczone, trzeba pojechać dalej do stacji metra Quinta Normal i na przeciwko jest już muzeum. Wstęp jest darmowy. Wypożyczamy audio-przewodniki, bo napisy są tylko po hiszpańsku. Dzięki temu możemy dokładnie poznać historię czasu dyktatury. Muzeum jest bardzo ciekawe i polecamy je wszystkim zainteresowanym współczesną historią Chile. Zrobione w nowoczesnym stylu, ale gustownie, jest jednocześnie pomnikiem pamięci wobec ofiar reżimu. Warto zarezerwować sobie około 3 godzin na dokładne zwiedzanie z audioprzewodnikiem. Jedna gablota poświęcona jest też wizycie papieża Polaka w Chile, w czasie której papież powiedział słynne słowa „La amor es mas fuerte”. Stamtąd jedziemy na Plaza de Armas. Wchodzimy jeszcze raz do katedry, aby trochę dłużej i dokładniej obejrzeć jej wnętrze. Następnie idziemy do muzeum Chileno de Arte Precolumbiano, gdzie znajdują się ciekawe i zachowane w doskonałym stanie wyroby ceramiczne i włókiennicze Indian z całej Ameryki Południowej i Środkowej. Sale muzeum zostały podzielone w ten sposób, że każdy pokój poświęcony jest odrębnemu obszarowi. Na najniższym piętrze są wyroby Mapuche, Indian zamieszkujących teren Chile po dziś dzień. Zastanawiamy się skąd muzeum ma tak bogate zbiory. Stamtąd idziemy do kościoła św. Franciszka z Asyżu, gdzie znajduje się malutka figurka Matki Bożej przywieziona w 1540 r. z Europy. Przechodzimy się ulicami Londres-Paris i wchodzimy na Cerro Santa Lucia, skąd rozpościera się ładny widok na miasto. Warto tu przyjść także dla okazałych fontann. Dziś są walentynki, więc w parku spaceruje mnóstwo zakochanych par, z kwiatami w rękach, misiami i balonami. Mamy spory zapas czasowy więc jeszcze raz próbujemy znaleźć księgarnię z przewodnikami LP po angielsku na Av. Providencia. Nawet nam się to udaje, ale

niestety mają tylko stare wydanie przewodnika po Argentynie, więc rezygnujemy z zakupu, mając nadzieję, że może uda nam się go kupić później. Idziemy więc do La Chascona, domu Pabla Nerudy. Podobnie jak La Sebastiana i ten dom urządzone jest w bardzo ciekawym stylu. Właściciel przywiózł tu nawet laleczki z Polski. Widać tu jego artystyczną duszę. Powoli wracamy do hostelu.

Tuż przed wyjazdem z hostelu Przemek sprawdza naszą rezerwację na samolot i okazuje się, że jest anulowana. Prawdopodobnie odrzucili ją, bo kupiliśmy bilet w taryfie dla Chilijczyków, która jest tańsza. Jeśli tak, to strona nie powinna zaakceptować karty i wysyłać potwierdzenia rezerwacji. Próbujemy kupić jeszcze ten sam bilet przez różne strony internetowe, ale niestety jest już za późno i na tak krótki termin przed wylotem nie jest to możliwe. Dzwonimy do linii Sky, ale jedyne co nam radzą to pojechać na lotnisko i liczyć na to, że będą miejsca do kupienia. Nie są w stanie też podać nam przez tel. ceny. Wobec tego decydujemy się pojechać na dworzec autobusowy i próbujemy w ten sposób dojechać jak najdalej się da. Na dworcu kolejki jak w PRL-u za mięsem. Autobus do Arici jest już pełny we wszystkich firmach. Decydujemy się więc na ostatnie miejsca w Tur-Busie do Iquique. Przed nami ponad 24 godziny jazdy. Nie mamy nawet czasu na zakupy, w locie kupujemy hot-dogi i wodę, licząc na to, że będzie jakiś postój na jedzenie albo zakupy.

15.02.2014 Droga do Iquique

W nocy nawet udało nam się trochę pospać. Rano budzimy się już na pustyni, która będzie nam towarzyszyła aż do Arici. Przez ponad 1000 km można się poczuć jak w Egipcie. Mijamy niewielkie miejscowości. Jedzenie w autobusie to raczej drobna przekąska, więc na 1 przystanku kupujemy bułkę z kawałkami mięsa (lomito) i ciepłe picie. Niestety potem aż do godz. 16, kiedy to dojechaliśmy do Antofagasty nie mieliśmy możliwości kupienia niczego innego. Do Iquique przyjeżdżamy planowo o godz. 22. Szukamy hostelu, bo rezerwacji nie zdarzyliśmy zrobić. Nie jest łatwo w pierwszych 3 wszystko jest zajęte. Zostajemy w końcu na noc w Hotelu Pekin, prowadzonym przez Chińczyków. Jest tu też chińska restauracja, w której zamawiamy nareszcie prawdziwe jedzenie.

16.02.2014 Iquique → Humberstone → St. Laura → Arica

Rano przed centralnym marketu jedziemy oglądać zabytkowe, opuszczone miasteczka, które do 1960 r. służyły pracownikom kopalni nitrogliceryny a obecnie są na liście UNESCO. Miasteczka wyglądają jak dziki zachód, podobne są do Kolmanskop w Namibii, gdzie oglądaliśmy opuszczone miasteczko po kopalni złota. Tu również widzimy samą fabrykę, domy, kościół, teatr, główny plac. W szczycie mieszkało tu nawet 3700 osób. Umilali sobie czas na basenie (zrobiony w całości z żelaza), w salonie gier czy na boisku. Niektóre zabudowy, zwłaszcza w St. Laura, która jest oddalona o 2 km od Humberstone, są w opłakanym stanie, zardzewiałe, czekają na ostateczny upadek. Dziwimy się nawet, że niektóre miejsca nie są zamknięte do zwiedzania ze względu na bezpieczeństwo turystów. W drugą stronę trudniej było nam złapać autobus powrotny. Albo były pełne albo za szybko jechały, by się zatrzymać. Zatrzymuje się autobus Tur-Busu. Po przyjeździe do miasta idziemy zobaczyć zabytkowy rynek, na którym na szczególną uwagę zasługuje wieża zegarowa. Zabieramy plecaki, jemy obiad na markecie centralnym i jedziemy do Arici. Tu po przyjeździe jedziemy colectivo, czyli współdzieloną taksówką na ul. San Marco, skąd mamy 1 przecznicę do hostelu Jardin de Sol, który serdecznie polecamy. Recepcjonista informuje nas, że dziś kończy się tu karnawał i powinniśmy pójść na główny plac zobaczyć paradę. Zmęczeni, ale zachęteni jego słowami idziemy na paradę. Nie żałujemy, parada jest naprawdę duża, ludzie są kolorowo ubrani w tradycyjne stroje i wykonują tradycyjne tance. To taki karnawał po indiańsku. Po godzinie wracamy do hostelu.

17.02.2014 Arica

Po śniadaniu wyprowadzamy się, bo wszystkie pokoje na tą noc są już zajęte. Przeprowadzamy się do Arica Surfhouse, który ma ceny lekko zawyżone, ale to nas nie dziwi, są na 1 miejscu w LP. Zostawiamy plecaki, kupujemy wycieczkę jednodniową do Parku Narodowego Lauca i łapiemy colectivo 8 na dworzec autobusowy. Tam kupujemy bilety na autobus do San Pedro de Atacama na następny dzień. Z dworca bierzemy żółte colectivo z napisem Azepa Valle do Museo Arqueologico San Miguel de Azapa, gdzie oglądamy mumie Chinchorro, najstarsze mumie na świecie. Muzeum składa się z 2 części i jest naprawdę interesujące. Po powrocie robimy zakupy w markecie centralnym, przebieramy się, jemy obiad i idziemy na plażę. Po drodze zwiedzamy jeszcze kościół San Marco, który został zaprojektowany przez G. Eiffela, tego od paryskiej wieży. Kościół nam się bardzo podoba, ładniejszy jest niż wieża. Plaża jest bardzo spokojna, morze ciepłe, więc odpoczywamy na plaży i pływamy. Na skałach widzimy pelikany, które nie przejmują się obecnością wczasowiczów. Po 17 idziemy na El Morro de Arica, górę, skąd rozciąga się widok na całe miasto i ocean. Warto tu przyjść pod wieczór, gdy słońce jest już łagodniejsze. Na górze zwiedzamy także muzeum, w którym zachowane są pamiątki z bitwy o Pacyfik, w wyniku której Chile zdobyło posiadanie swojego północnego dziś terytorium w starciu z Peruwiańczykami i Boliwijczykami. Wieczór spędzamy w hostelu, planując dalszą podróż.

18.02.2014 Arica → Lauca National Park → San Pedro de Atacama

Punktualnie firma Pullmann Lauca odbiera nas z hostelu. Rzeczywiście nikt nie chce od nas żadnego potwierdzenia, że zapłaciliśmy za wycieczkę, co poprzedniego dnia wydawało nam się dziwne. Busik jest pełny, w większości jadą z nami Chilijczycy, poza 3 Niemców. Widać, że wszystkie firmy mają identyczny program, zatrzymują się w tych samych miejscach, nawet na posiłki. Po drodze jest sporo przystanków, ale trzeba się nastawić na to, że jednak cały dzień spędza się w podróży. Najpierw zatrzymujemy się niedaleko za miastem i oglądamy geoglify na skalnych górach otaczających Aricę. Potem jedziemy do wioski Poconchile, gdzie oglądamy zabytkowy kościółek z 1580 r. oraz cmentarz. Przed kościołem Indianki wystawiają swoje wyroby na sprzedaż. Ceny mają bardzo przystępne. Następnie zatrzymujemy się przy dużych kaktusach na zdjęcie (Cactus Candelabro). W Copaquilla na 3000 m.n.p.m. zatrzymujemy się na śniadanie. Powoli daje się we znaki wysokość, na której jest położona wioska. Pijemy znaną nam z Peru i Boliwii herbatkę z liści koki, która ma pomóc przetrwać chorobę wysokościową. Stąd zaczynamy już wypatrywać zwierząt zamieszkujących Andy. Najpierw spotykamy zgrabne i rude wikunie. Potem dojeżdżamy do punktu widokowego na Putre, gdzie również Indianki sprzedają swoje wyroby. Dalej widzimy kolejne zwierzęta: grubsze i czarne, brązowe lub białe alpaki, lamy, króliki i mnóstwo ptaków. Dojeżdżamy do maleńkiej wioski Parinacota, gdzie znajduje się kolejny zabytkowy kościół w starym, tradycyjnym stylu, z XVI w. We wnętrzu można podziwiać oryginalne freski. Stamtąd jest już dość blisko do głównej atrakcji wycieczki, czyli parku narodowego z punktem widokowym na wulkan Parinacota, który ma 6330 m.n.p.m. U jego podnóża jest jezioro Changara. Ośnieżony wulkan pięknie odbija się w wodzie. Dookoła jest znacznie więcej ośnieżonych wulkanów oraz nawet wyższe góry w Boliwii. Przy brzegu widzimy flamingi, kaczki, lamy i mnóstwo innych ptaków, których nie potrafimy zidentyfikować. Piękne krajobrazy przywodzą nam na myśl znajdujący się niedaleko, bo w Boliwii Salar de Uyuni. Zadowoleni wracamy do Putre na smaczny obiad. Mamy czas na samodzielne przejście się po miasteczku. W rynku siedzą sobie spokojnie na ławeczkach i odpoczywają Indianki. Obok znajduje się kolejny zabytkowy, ładny, indiański kościółek. Około 19:30 wracamy do Arici. Wycieczka, choć męcząca, bo wymaga całodziennego jeżdżenia busem, pozwala tanio i szybko dotrzeć do tego odległego i

niezbyt często odwiedzanego przez zagranicznych turystów parku narodowego. Jedynym problemem jest znaczna zmiana wysokości. Wjeżdża się z poziomu morza na wysokość 4500 m. Niektórzy wymiotowali i źle się czuli, my byliśmy jedynie ospali i trochę bolały nas głowy. Po powrocie idziemy na pizzę do Telepizy, zabieramy rzeczy z hostelu i jedziemy colectivo na dworzec, skąd o 22 mamy autobus do San Pedro de Atacama. W środku nocy ok. 4 budzą nas na kontrolę celną. Widać, że wszystkie autobusy się na nią zatrzymują. Trzeba zabrać wszystkie swoje bagaże i przepuścić przez rentgen. Nie wiemy za bardzo czego szukali, ale niektóre osoby musiały wypakowywać całe swoje bagaże. Może kwitnie tu jakiś nielegalny handel z Boliwią i Peru.

19.02.2014 San Pedro de Atacama → Valle de la Luna

Większość pasażerów naszego autobusu wysiadła w Calamie i dalej pojechaliśmy tylko z 3 innymi osobami. Na miejscu okazało się, że dworzec jest w innym miejscu niż zaznaczone jest na mapce. Jak popytaliśmy miejscowych, to jednak udało się dość szybko odnaleźć hostel. Na dworcu kupiliśmy też od razu bilety na autobus do Salty na sobotę. Teraz autobusy jeżdżą codziennie rano. Zostawiliśmy nasze plecaki w hostelu i poszliśmy poszukać, gdzie najtaniej możemy kupić pakiet interesujących nas wycieczek. Najtaniej udało nam się w biurze Yalcana, gdzie za 50000 od osoby zapłaciliśmy za wycieczki do Valle de la Luna, El Tatio, Lagunas Altiplanicas i Laguna Cejar. Szukaliśmy też, ale bezskutecznie przewodnika LP po Argentynie. Wróciliśmy do hostelu, wykąpaliliśmy się po nocnej podróży i poszliśmy na obiad. O 16 zaczęła się nasza wycieczka. Okazało się, tak jak zresztą myśleliśmy, że będziemy jechali z inną firmą, niż ta, w której kupiliśmy wycieczki. Nota bene bezpośrednio u tej firmy było drożej niż w Yalcana. Pierwszy postój mieliśmy w jaskini Chulacao. Sama jaskinia kryje wąskie przejścia i lepiej plecak zostawić w autobusie. Ładniejsze widoki są na zewnątrz niż w środku jaskini. Widać tu, że całe góry są formacjami solnymi, 'pokrytymi czerwoną gliną. Drugi przystanek mamy przy formacji skalnej zwanej trzema Maryjami, od postaw jakie przyjmują: jedna dziecka, druga matki z dzieckiem a trzecia modląca się. Kolejny postój pozwala nam zobaczyć amfiteatr - jest bardzo fotogeniczny. Dalej zwiedzamy już drugą część doliny - Valle de los muertos. Możemy tu podziwiać w oddali wulkan Licancabur i czerwone skały. Ostatnim punktem wycieczki jest widok na dolinę przy zachodzącym słońcu. Znajduje się on ponad doliną, więc widoki są przepiękne. Jest tu też wisząca skala, na której wszyscy chcą sobie zrobić zdjęcia. Miejscowe kobiety sprzedają ciepłe i smaczne empanady po neapolitańsku (z pomidorem, szynką i serem). W dobrych humorach wracamy do miasta, robimy zakupy, opisy i kładziemy się spać.

20.02.2014 San Pedro de Atacama → Lagunas Altiplanicas

O 7 wyjeżdżamy na wycieczkę po jeziorach Altiplano. Pierwszy postój mamy przy jeziorze Chaxa na Salarze de Atacama. Inaczej miejsce to nazywa się Soncor Reserva Nacional Los Flamencos, co jak sama nazwa wskazuje stwarza okazję do obserwowania flamingów. W Chile żyją trzy rodzaje flamingów: chilijskie, które mają czerwone lub różowe stopy i kolana, andyjskie, które mają białe nogi i trójkątny czarny tył oraz Jamesa, które mają różowe nogi w całości. Te ostatnie żyją na wysokości powyżej 4000 m.n.p.m., więc nie ma ich w miejscu, gdzie pojechaliśmy na wycieczkę. Flamingów nie ma zbyt wiele, ale za to w otoczeniu solnych pól pięknie wyglądają. Następnie jedziemy do wioski Socaire, gdzie oglądamy zabytkowy kościół. Co ciekawe prawie wszystkie zabytkowe kościoły na północy mają osobno wieże od budynku kościoła. Symbolizuje ona mężczyzn, którzy patrzą jak kobiety wchodzi do kościoła, bo po hiszpańsku iglesia jest rodzaju żeńskiego. Obok kościoła widzimy też zabytkowe tarasy uprawne, gdzie uprawiana jest kukurydza, quinoa i fasola. Pierwszy raz widzimy jak wygląda quinoa przed podaniem na talerz. Jest to rodzaj bardzo zdrowej kaszy, która i u nas w Polsce zyskuje na popularności. Następnie odwiedzamy dwie

laguny, dwa jeziora Miñiques i Miscanti. Przypominają nam one jeziora z Salaru de Uyuni. Maja one piękny zielono-turkusowy kolor i są otoczone wulkanami. Obok jeziora pasą się wikunie. Wycieczkę kończymy we wiosce Toconao, która charakteryzuje się zabytkową wieżą na głównym placu miasta. Co ciekawe do wieży prowadzi zabytkowe drzwi zrobione z kaktusa. Przy głównym placu jest też ładny kościół. W środku zwracamy uwagę, że w bocznej kaplicy, gdzie przechowywany jest Najświętszy Sakrament drzwiczki do tabernakulum, podobnie jak schody na chór też są zrobione z kaktusa. O ile rano było zimno (warto zabrać polar lub kurtkę), o tyle teraz jest już tak gorąco, że każdy marzy o picu i lodach. Po powrocie do San Pedro zostawiamy rzeczy w hostelu i idziemy zwiedzać miasto. Najpierw odwiedzamy muzeum Gustavo Le Paige, w którym można się dowiedzieć więcej na temat okolic San Pedro, samego ojca Gustavo i ludzi, którzy przez wieki zamieszkiwali te tereny. Niestety z muzeum usunięto mumie, które przez lata przechowywano tutaj. Obecnie można zobaczyć jedynie film pokazujący proces ich przeniesienia do magazynu i powody, dla których to uczyniono. Z muzeum idziemy do kościoła św. Piotra. Kościół słynie z tego, że jego dach został zrobiony z drzewa kaktusowego. W ołtarzu głównym jest ciekawa figura św. Piotra na tronie z tiarą, symbolizującą papieżstwo. Idziemy na obiad a potem wracamy do hostelu, gdzie w prezencie dostajemy nowiusieńki przewodnik LP Argentina od turysty, który przyjechał z Salty. Szczęśliwi, że rozwiązał się nasz problem, wieczór spędzamy odpoczywając w hostelu.

21.02.2014 San Pedro de Atacama → El Tatio → Laguna Cejar

Budzimy się o barbarzyńskiej porze 3:25, żeby o 4 wyruszyć na wycieczkę do gejzerów El Tatio. Droga zajmuje prawie 2 godziny. W tym czasie dosypiamy trochę, chociaż droga jest wyboista i ciężko zasnąć. Tuż przed wschodem słońca dojeżdżamy na miejsce. Jest pełno busików, ok. 20. Może być tu nawet 400 osób. Trochę dużo, ale to w sumie jedna z największych atrakcji i szczyt sezonu, więc trudno się dziwić. Jest bardzo zimno, ok. minus 5 stopni, więc lepiej dobrze się ubrać. Gejzery robią na nas duże wrażenie. Jest ich sporo i są duże. Można między nimi spacerować. Po wschodzie słońca robi się lepsze światło do zdjęć, ale trzeba się spieszyć, bo później jest już za mocne i para nie jest już tak dobrze widoczna. Na miejscu kierowca przygotowuje nam też śniadanie. Miłe otoczenie na pierwszy posiłek. Po śniadaniu jedziemy okrężną drogą do gorących źródeł Pozon Rustico, w których można się kąpać. Po drodze widzimy wikunie oraz liska. Woda w źródłach jest gorąca, zwłaszcza jeśli się stanie blisko miejsca, z którego wybija źródło. Dalej jest już zimniej. Po kąpieli jedziemy do wioski Machuca. W wiosce oglądamy zabytkowy kościółek, lamy i jemy szaszłyki oraz świeżutki, pyszne empanady z serem kozim. Po powrocie do San Pedro odpoczywamy, ja na hamaku a Przemek przy komputerze. Idziemy na obiad. Próbujemy lokalnego przysmaku pastel de choclo, rodzaju zapiekanki z mięsem i kukurydzą o lekko słodkim smaku, która nam bardzo smakuje. O 16 wyjeżdżamy na ostatnią już wycieczkę z San Pedro. Tuż za rogatkami, zatrzymuje nas policja na kontrolę. Kierowca dostaje mandat. Turyci śmieją się, że pewnie nie ma prawa jazdy. Pierwszy przystanek mamy pod wielkim drzewem algarrobo, skąd widać ładnie wulkan Licancabur. Dalej jedziemy do Laguny Cejar. Są tu trzy jeziora. Jedno, które się ogląda. Jest tu mało osób, bo większość przyjechała się tu kąpać w pozostałych dwóch słonych jeziorach. Warto się tu przejść, bo linia brzegowa jest ładnie ukształtowana i powstały maleńkie solne plaże. Potem dołączamy do tłumu kąpiących się w słonym jeziorze. Uczucie podobne do Morza Martwego. Zasolenie pewnie też. Na szczęście na miejscu są prysznicze i można się wykapać po wyjściu z jeziora. Dalej jedziemy do Ojos de Salar, dwóch jezior, które symetrycznie znajdują się po dwóch stronach drogi. Tu również można pływać, ale my rezygnujemy. Idziemy pochodzić trochę po salarze. Ostatnim miejscem jest już typowy, biały salar, gdzie dojeżdżamy na zachód słońca. Tu kierowcy przygotowują dla turystów przekąskę. Wycieczka ta jest bardziej relaksująca

niż pozostałe, ale nie można powiedzieć, że nie oferuje pięknych widoków. Choć nie planowaliśmy jej początkowo, jesteśmy zadowoleni, że na nią pojechaliśmy.

22.02.2014 San Pedro de Atacama → Salta

Po śniadaniu idziemy na dworzec, skąd o 9:30 Odjeżdżamy argentyńskim autobusem w kierunku Salty. Od razu widzimy różnicę w obsłudze w autobusach chilijskich i argentyńskich. Tu zaraz po rozpoczęciu podróży dostajemy picie i przekąski a później w porze obiadowej kanapki i picie. W Chile nawet na długich dystansach z najlepszą ich linią autobusową Tur-Bus nie można było liczyć na wiele. Zwykle po całej nocy w autobusie rozdawali tylko sok i alfajor. Cała droga od granicy jest bardzo widokowa. Granica znajduje się na przełęczy Paso de Jama, która wznosi się na wysokości 4230 m.n.p.m. Potem autobus zatrzymuje się przy Salinas Grandes, salarze argentyńskim. Mamy nawet czas na zrobienie zdjęć. Jest pięknie, bo salar pokryty jest wodą, w której odbijają się chmury i niebo. Tak spełniło się marzenie Przemka, żeby zobaczyć mokry salar. Później autobus pokonuje zjawiskową drogę w dół do Purmamarci, którą odwiedziliśmy już 8 lat temu. Kolorowe skały przypominają nam tamtą wyprawę. Robimy mnóstwo zdjęć. Dalej Quebrada de Humahuaca nam się tak bardzo podoba. W Jujuy zmieniamy autobus. Po drodze widzimy jak jedna wioska świętuje w kolorowych przebraniach. W końcu przed 21 dojeżdżamy do Salty, jedziemy taksówką do hostelu Sol Huasi, zostawiamy bagaże i idziemy nocą zwiedzać miasto. Większość miejsc pamiętamy z poprzedniej podróży, ale wtedy nie widzieliśmy Salty nocą. Dopiero teraz widzimy co straciliśmy. Stare budynki wokół rynku są pięknie oświetlone. Zdecydowanie polecamy spędzić tu wieczór. Jest sobota, dzień ślubów. Trochę dziwimy się początkowo, że dopiero o tej godzinie kolejne panny młode wychodzą z kościołów i katedry, ale uświadamiamy sobie, że w dzień jest tu tak gorąco, że pewnie by się roztopiły. W altanie na placu miejscowi tańczą pięknie tango. Dzień kończymy dobrymi empanadami, z których słynie Salta (empanady w Argentynie są jednak małe w porównaniu do empanad w Chile, zamawia się kilka sztuk lub tuzin).

23.02.2014 Salta → Cafayate

Postanawiamy trochę dokładniej poznać Saltę. Niestety pogoda się popsuka i rano pada deszcz. Nie widzimy sensu wjazdu kolejką na wzgórze, bo szczyt pokryty jest chmurami. Spacerujemy do kościoła św. Franciszka i klasztoru św. Bernarda (który zwiedzać można tylko rano przed Mszą o 7:30). Obchodzimy plac oraz dwie ulice przeznaczone tylko dla pieszych. Dochodzimy też do kościoła Matki Bożej Gromnicznej, którego niebieska fasada i włoski styl robią na nas wrażenie. O 12 idziemy na Mszę do katedry. Słynie ona z wizerunków Matki Bożej i Ukrzyżowanego Jezusa. Wotywa wiszą na ścianie. Pochowany jest tu też generał Gumes, który zasłużył się w odzyskaniu przez Argentynę niepodległości. Wnętrze katedry jest bogate, a złotego ołtarza nie powstydzilyby się największe bazyliki rzymskie. Następnie zwiedzamy Museo de Arqueologia de Alta Montaña, w którym przechowywane są mumie dzieci ofiarowanych przez Inków na wulkanie Lullillaco, znajdującym się w prowincji Salta. Mumie są w bardzo dobrym stanie, co pół roku można zobaczyć inną. My widzimy mumie 6-letniego chłopca. Całe muzeum jest bardzo interesujące. Można zobaczyć tu filmy z odkrycia mumii, przedmioty, jakie im towarzyszyły i dowiedzieć się więcej o ceremonii złożenia w ofierze dzieci. Jest tu także mumia, którą odkupiono od prywatnych właścicieli, zwana królową gór. Następnie idziemy na obiad, podczas którego próbujemy lokalnej specjalności locro. Jest to rodzaj gulaszu z mięsem i kukurydzą. Ostatnim miejscem, które odwiedzamy jest Museo Historico del Norte, znajdujące się w zabytkowym domu na głównym placu miasta. Już dla samego budynku, warto tu przyjść, ale i kolekcja nie rozczarowuje. Są tu pamiątki z różnych okresów historycznych z tego regionu świata. Od wyrobów garncarskich, przez meble, do powozów. Zabieramy plecaki z hostelu i jedziemy autobusem na

dworzec. Nie mamy karty przejazdowej, więc nie możemy kupić biletu, ale kierowca zabiera nas bez problemu. Droga do Cafayate jest dość długa, ale to przez góry. Ostatnie 50 km wiedzie przez Quebrada de Cafayate, gdzie oglądamy kolejne piękne formacje skalne. Następnego dnia będziemy chcieli przyjechać tu na wycieczkę. Nocleg mamy zarezerwowany w La Arcadia Hospedaje, który gorąco polecamy. Dobre miejsce, czyściutko, duże, nowe pokoje i wiatraki. Zostawiamy bagaże i idziemy na główny plac kupić wycieczkę. Znajdujemy dwa biura i wybieramy popołudniową wycieczkę z jednym z nich. Wszyscy i tak robią to samo. Wycieczki są tanie. Decydujemy też, że do Quilmes pojedziemy rano taksówką, bo do zorganizowania wycieczki potrzebnych jest więcej osób. Zwiedzamy katedrę i wracamy do hostelu.

24.02.2014 Cafayate → Quilmes → Quebrada de Concha

W nocy była niedaleko nas jakaś fiesta i do późnych godzin nocnych nie mogliśmy usnąć. Na szczęście nadrobiliśmy sen rano, bo nic nas specjalnie nie goniło. Po śniadaniu poszliśmy na główny plac, gdzie znaleźliśmy taksówkę do Quilmes. Cena za 2 osoby jest taka sama jak za wycieczkę a nie trzeba się dostosowywać do godzin odjazdu. My zapłaciliśmy 300 peso, co biorąc pod uwagę, że w 1 stronę jest 55 km nie jest wygórowaną ceną. Po drodze mieliśmy też możliwość podziwiania wielu winnic z pięknymi estancjami, taksówkarz nawet zatrzymał się w drodze powrotnej na zdjęcia, jak go poprosiliśmy. Podróż zajmuje ok. 50 minut w jedną stronę. Na miejscu dostaliśmy godzinę i 10 minut i był to wystarczający dla nas czas. Same ruiny nie są może zbyt imponujące, ale są bardzo ładnie położone i przede wszystkim porośnięte wspaniałymi, olbrzymimi kaktusami. Można też dojść do fortec położonych na zboczach miasteczka, skąd nawet ruiny wyglądają nieco okazalej. Po powrocie skorzystaliśmy z kafejki internetowej, zjedliśmy obiad i na styk dobiegliśmy do firmy, z którą o 15 wyjeżdżaliśmy na wycieczkę do Quebrada de las Conchas. Jak widać godzina na zjedzenie obiadu w restauracji to zbyt mało jak na tutejsze tempo obsługi. Wycieczka była ciekawie zorganizowana. Ponieważ było więcej osób niż miejsc w busie należącym do firmy ją organizującej więc pozostałe osoby, w tym my, pojechaliśmy wynajętymi samochodami i taksówkami. Po drodze zatrzymywaliśmy się w 8 różnych miejscach, w kanionie, gdzie szliśmy przez jaskinię, przy skałach, tzw. zamkach, obelisku, oknach, żabie, kobiecie, amfiteatrze i gardle diabła. Stwierdzamy, że ta Quebrada znacznie się różni od Quebrada de Humahuaca i warto ją odwiedzić niezależnie od tamtej. Może jest ona mniej kolorowa, ale też jej widoki nie są gorsze przez to. Te krajobrazy przypominają nam najlepsze parki narodowe USA. Poza tym miejsce to odwiedzają głównie Argentyńczycy, zagranicznych turystów jest naprawdę mało. Po powrocie idziemy szybko spać, bo rano musimy wstać o 5. Na szybko zjadam pyszną grillowaną kaszankę i tamales, przekąskę z mięsa i kukurydzy zawiniętą w liść kukurydzy.

25.02.2014 Cafayate → La Rioja

O 6 rano wyjeżdżamy do Tucuman. Większość drogi przesypiamy, ale w chwilach świadomości widzimy, że jedziemy przez górskie drogi a momentami brakuje asfaltu. Pogoda też się pogorszyła i pada deszcz. Po dojeździe do Tucuman kupujemy bilet do Catamarca. Szybko więc jedziemy z jednego miasta do drugiego mając nadzieję, że uda nam się tam złapać autobus do La Rioja i będziemy szybciej niż bezpośrednim autobusem z Tucuman. Niestety po dojeździe okazuje się, że wychodzi na to samo, bo musimy czekać 4 godziny na dworcu na wieczorny autobus do La Rioja. Dojeżdżamy tam o 23 i bierzemy taksówkę do hostelu. Cały dzień źle się czujemy, ja wymiotuje, Przemek ma gorączkę. Podejrzewamy, że to zatrucie pokarmowe lodami albo jedzeniem z restauracji. Do tego pogoda nie poprawiła się przez cały dzień. Zastanawiamy się czy uda nam się pojechać na wycieczkę do PN Talampaya. Nikt więcej poza nami nie chce jechać więc decydujemy, że pojedziemy normalnym autobusem na własną rękę, choć do tego jednego parku.

26.02.2014 La Rioja → PN Talampaya → Cordoba

Wstajemy o 6, zabieramy plecaki na dworzec i zostawiamy w przechowalni. Kupujemy bilety na autobus o 7 do Parku Narodowego i później na 18:40 do Cordoby. Tą ostatnią decyzję podejmujemy pod wpływem informacji, że autobus wraca z parku o 15 i jedzie 3 godziny, co jak się później okaże jest nieprawdą, bo powrót jest o 16. Autobus zostawia nas pod bramą parku, skąd w odległości 5 min. na pieszo jest kasa biletowa i jednocześnie miejsce, skąd kupuje się wycieczki po parku. Tylko jedna firma ma koncesję na wycieczki po parku, także jedyną opcją na zobaczenie parku jest wybranie się z nią na przejażdżkę. Można pojechać overland truckiem, minibusem albo samochodem 4x4. My jedziemy na wycieczkę „Completa Shimpa” minibusem. Tu dodatkowo zwiedza się kanion Shimpa. Po drodze mamy standardowe przystanki przy petroglifach, w kanionie, gdzie możemy sami spróbować jak daleko niesie się nasz okrzyk, przy różnych formacjach skalnych, pionowych ścianach skalnych i na końcu w kanionie Shimpa. Bardzo się nam tu podoba. Jesteśmy jedynymi zagranicznymi turystami. Widać, że miejsce to jest poza standardowym szlakiem turystycznym, a większość osób przyjeżdża tu swoimi lub wypożyczonymi samochodami. Mamy nadzieję, że ktoś nas zawiezie do La Rioja, ale jest to zbyt daleko. Większość osób zatrzymała się bliżej albo jedzie do Valle de la Luna. Próbuje jeszcze przełożyć bilety telefonicznie, ale nie ma tu zasięgu. Nie pozostaje nam nic innego jak wrócić autobusem i pogodzić się ze stratą pieniędzy za bilet. Mimo tego jest to dość udany dzień, bo w przeciwieństwie do La Rioja pogoda nam dopisała a sam park narodowy ponownie nas pozytywnie nas zaskoczył w iście amerykańskim stylu. Autobus w drodze powrotnej zatrzymał się na przystanku autobusowym w Patquia. Tam zobaczyliśmy przedstawicielstwo Urquiza, z którą to firma mieliśmy jechać do Cordoby. Jakimś cudem opisujemy nasz przypadek a właściciel zapewnia, że zadzwoni i poda nasze numery i przełoży bilety na późniejszą godzinę. Gdy przyjeżdżamy na miejsce okazuje się, że rzeczywiście tak zrobił i szybko musimy odebrać nasze bagaże i bieć na autobus, który właśnie odjeżdża do Cordoby, co ciekawe z innej firmy. Głodni, ale szczęśliwi, że bilety nam nie przepadły jedziemy dalej.

27.02.2014 Cordoba → Alta Gracia

Punktualnie o 2:40 w nocy dojeżdżamy do Cordoby. Dworzec o tej godzinie jest prawie pusty. Idziemy do pokojów gościnnych, residencial, obok dworca i wynajmujemy pokój na resztę nocy. Rano o dziwo budzimy się wyspani. Kupujemy bilety na przejazd do Punta del Este w Urugwaju, przenosimy się do hostelu Palenque a następnie jedziemy do Alta Gracia. Podróż zajmuje godzinę a na dworzec można szybko dojść na pieszo, bo jest blisko centrum. W Alta Gracia idziemy do informacji turystycznej znajdującej się przy samej estacncji w zabytkowej wieży. Dostajemy przydatną mapkę z atrakcjami miasta i pokazującą, gdzie jest dom Che, bo w LP nie mamy mapy jak tam dojść a nie jest to blisko pozostałych zabytków. Najpierw zwiedzamy muzeum pojezuickie, w którym można się dowiedzieć więcej o właścicielach estacncji, życiu jakie tu wiedli, zobaczyć zabytkowe meble i dzieła sztuki. Kościół przylegający do muzeum niestety jest zamknięty z powodu renowacji, więc nie udaje się nam wejść do środka. Idziemy następnie do domu Che Guevary. Wstęp jest dość drogi a i postać dość kontrowersyjna, ale dla nas jest to kontynuacja lekcji historii z Kuby, gdzie wiele miejsca w muzeach było poświęcone jego osobie. Tu można zobaczyć jego zdjęcia i przedmioty użytku osobistego, w tym rower i motor z różnych okresów jego życia oraz oczywiście dowiedzieć się więcej o nim samym. Wizytę uznajemy za ciekawą i zdecydowanie wartą polecenia. Co ciekawe muzeum w 2006 r. odwiedził Fidel Castro i Hugo Chavez, ideologiczni towarzysze Che. Wracamy do Cordoby, idziemy na obiad a potem na zwiedzanie po angielsku Uniwersytetu w Cordobie, trzeciej najstarszej wyższej uczelni po Meksyku i Peru w Ameryce

łacińskiej. Zwiedzanie po angielsku odbywa się o 11 i 18 a po hiszpańsku o 10 i 17. Bilety są bardzo tanie a można zobaczyć naprawdę niesamowite perełki zachowane w murach Manzana Jesuitica. Dziwimy się, że poza nami są tylko 2 osoby, bo poza możliwością zwiedzenia kościoła jezuitów, wchodzimy do najbardziej zdobnej sali na uniwersytecie, coś jak wrocławska Aula Leopoldina, biblioteki z zachowanymi starymi woluminami, części muzealnej z ważnymi dla państwa dokumentami oraz mapami Ameryki Południowej od odkrycia do XX w., które pokazują jak zmieniła się wiedza o tym kontynencie. Zwiedzanie okazuje się znacznie ciekawsze niż się początkowo spodziewaliśmy, dlatego należy je zaliczyć do koniecznych w Cordobie. Wracamy do hostelu, po drodze robiąc jeszcze zakupy.

28.02.2014 Cordoba → Punta del Este

Rano szykujemy sobie sami śniadanie i wyruszamy na zwiedzanie miasta. Po drodze wступujemy do Cripta Jesuitica, w której są obecnie współczesne wystawy. Zaczynamy od katedry, która, podobnie jak wszystkie kościoły w Argentynie, które zwiedzaliśmy nie jest pusta. Sporo osób się modli, ogląda kościół, niektórzy widać, że spędzają tu długie godziny, większość zachowuje się pobożnie. Stamtąd idziemy do kościoła karmelitanek Bosych św. Teresy. Tutaj jest zupełnie pusto i cicho. Tylko jeden młody chłopak modli się przed wizerunkiem Matki Bożej w bocznej kapliczce. To też dość charakterystyczna cecha, że Argentyńczycy często modlą się w bocznych kapliczkach ku czci różnych świętych niż np. przed Najświętszym Sakramentem jak u nas. Wykonują przy tym podobnie jak Włosi różne obocznościowe gesty. Dotykają figury, całują ją, wielokrotnie się żegnają. Podoba nam się taki otwarty sposób komunikacji ze świętymi. Dalej idziemy jeszcze raz do kościoła jezuitów i zwiedzamy całe Manzana Jesuitica, tym razem bez pośpiechu i w lepszym, porannym słońcu. Następnie udajemy się do Museo Historico Provincial Marques de Sobremonte. Muzeum mieści się w ładnym kolonialnym domku z wieloma wewnętrznymi płacykami. Pokoje urządzone są gustownie i stylowo, adekwatnie do epoki. Na środku głównego patio rośnie drzewo granatowe. Akurat jak tam przyszliśmy pracownik ścinał gałęzie i strącał owoce. Ponieważ je wyrzucali (a były dobre, co za marnotrawstwo!), wzięliśmy sobie je na dalszą drogę. Stamtąd udaliśmy się do muzeum de la Memoria. Mieści się ono w dawnym punkcie przesłuchań i zatrzymań z czasów dyktatorskich. Zachowane jest w dawnym klimacie. Niestety nie jest tak ciekawe i rozbudowane jak analogiczne muzeum w Santiago i przez brak angielskich napisów nie dowiedzieliśmy się tak dużo jak tam. Mamy sporo czasu, więc idziemy na główny targ w mieście i robimy zakupy, jemy obiad i wracamy po nasze rzeczy do hostelu. Bierzymy taksówkę na dworzec i próbujemy tam jeszcze kupić bilet na prom z Colonii do Buenos Aires, ale transakcja się nie udaje i jak się później okaże wyjdzie to nam na dobre, bo kupimy tańsze bilety. Linie autobusowe EGA, którymi jedziemy do Urugwaju możemy polecieć z całego serca. Punktualne a do tego serwują posiłki w czasie podróży, w tym obiad na ciepło wieczorem. W nocy przekraczamy granicę urugwajską. Nawet nie musieliśmy wysiadać z autobusu. Strażniczka sama weszła do autobusu i wzięła nasze paszporty do przybicia pieczętki.

1.03.2014 Punta del Este

Rano budzimy się około godziny przed Montevideo. Krajobraz za oknem zmienił się diametralnie. Nie ma już pustyni, gór i kaktusów północnej Argentyny. Za to jest zielona równina z palmami. Po przyjeździe do Montevideo przesiadamy się do autobusu do Punta del Este i 3 godziny później jesteśmy już w głównym kurorcie kraju. Miejscowość znacznie różni się od tych, które znamy z Argentyny i Chile. Wszędzie są nowoczesne budowle, wiele wieżowców, trawniczki zielone i równo przystrzyżone. Całość sprawia wrażenie jak z innego świata. Nie ma się jednak co dziwić, bo przyjeżdżają tu na wakacje bogaci Brazylijczycy i Argentyńczycy. Wypłacamy pieniądze w

bankomacie (wszędzie pobierana jest dodatkowa prowizja przez miejscowy bank w wysokości 6 USD od transakcji). Nie można jednorazowo zbyt wiele wypłacić, jedynie 300 USD w setkach albo 5000 peso urugwajskich. Bierzymy peso i idziemy do hostelu Tas D'Viaje Beach, położonego bezpośrednio przy plaży. Kąpiemy się, przebieramy i idziemy na plażę Mansa, na której nie ma tak dużych fal i można spokojnie pływać. Po drodze rozglądamy się za jedzeniem. Wszędzie wydaje nam się bardzo drogo. Nawet 20 USD może nie wystarczyć dla jednej osoby na normalny posiłek. Nawet McDonalds i BurgerKing wydają się znacznie droższe niż gdzie indziej. Plaża nie jest zbyt urokliwa. Ma czysty złoty piasek, ale położona jest wzdłuż drogi i nie jest zbyt szeroka. Woda też nie zachwyca. Można popływać, ale jest sporo skałek i można się nieźle zarysować. Dodatkowo na plaży leży sporo muszli i można się skaleczyć nadeptując gołą stopą na nie. Plażujemy parę godzin, później idziemy zobaczyć słynny pomnik ręki na pobliskiej plaży Brava i wracamy do hostelu. Kąpiemy się i idziemy do portu. Tu oglądamy zachód słońca i jemy kolację w Artico. Robimy zakupy w supermarkecie, kupujemy online bilety na katamaran do Buenos i wracamy do hostelu.

2.03.2014 Punta del Este → Montevideo

Rano wstajemy szybko, idziemy na spacer wzdłuż plaży. Widzimy ładną kapliczkę usytuowaną na skalach tuż przy morzu oraz latarnię morską. Kupujemy świeży chleb w markecie i idziemy do portu. Miasteczko jeszcze śpi. Ulice są prawie puste. Po śniadaniu idziemy z plecakami na dworzec, po drodze robiąc jeszcze zdjęcia pomnika ręki na plaży. Tym razem autobus jedzie szybciej do Montevideo i 2 h 15 później jesteśmy już w mieście. Kupujemy bilety na następny dzień do Colonii i jedziemy miejskim autobusem CA1 do centrum, prawie pod sam hostel El Viajero. Zostawiamy plecaki i idziemy deptakiem w kierunku Mercado del Puerto. Jest pora obiadowa i mieszkańcy stolicy przychodzą tu na obiad. Tłok jest niesamowity a zapachy nieziemskie. Postanawiamy pójść jednak najpierw do muzeum karnawału obok a potem tu wrócić na obiad. Muzeum nas rozczarowuje. Wyobrażaliśmy sobie, że będzie tu dużo zdjęć i kostiumów, a tych jest w sumie niewiele. Ogólnie nie polecamy odwiedzania tego miejsca. Nic ciekawego nie można się tu dowiedzieć ani zobaczyć. Myślę, że przeciętny mieszkaniec Montevideo ma lepszy asortyment w domu. Wracamy na targ, gdzie zamawiamy chivito a la plata dla dwojga. To typowe danie urugwajskie składające się ze steku z jajkiem, serem i szynką, sałatki oraz olbrzymiej porcji frytek. Dalej idziemy do portu. Ta część miasta wygląda na smutną i zaniedbaną. Aż trudno uwierzyć jak bardzo się różni od Punta del Este. Jest niedziela, więc ulice są prawie puste. W porcie rybacy łowią ryby. Później idziemy na Plaza Independencia. Tu stolica maluje się bardziej kolorowo i nowoczesnie. Widzimy teatr Solis, bramę do miasta, mauzoleum Artigasa, narodowego bohatera w walce o niepodległość kraju. Jest tu też bardzo ciekawy wieżowiec z wieżyczką. Idziemy dalej jeszcze wzdłuż Av 18 de Julio przez 2 następne place i wracamy na plac konstytucji. Kupujemy tu pyszne i ogromne lody i wracamy do hostelu. Jak na stolicę, to dość niewiele tu atrakcji. Nawet muzea wydają się nieciekawe i ich opisy nie zachęcają do zwiedzania. Na pewno była to jedna z najmniej ciekawych stolic jakie widzieliśmy.

3.03.2014 Montevideo → Colonia de Sacramento → Buenos Aires

Rano taksówką jedziemy na dworzec, bo o 7:45 jedziemy już autobusem do Colonia de Sacramento. Punktualnie 2 h 45 min. później przyjeżdżamy do miasteczka, które słynie z zabytkowej, kolonialnej zabudowy i jest wpisane na listę UNESCO. Zostawiamy nasze bagaże w przechowalni na dworcu autobusowym i idziemy do głównej, zabytkowej bramy wiodącej do centrum starego miasta - Porton de Campo. Tu widzimy fragmenty muru, który niegdyś otaczał miasto. Idziemy urokliwą uliczką Suspiros do głównego placu a następnie do latarni morskiej. Wchodzimy na sama górę, skąd rozpościera się widok na miasteczko. Kupujemy bilety na wszystkie

muzea w miasteczku w Museo Municipal. Dziwimy się, że jest jeden wstęp i to w dodatku niedrogi do wszystkich muzeów, ale jak się później okazuje te muzea są bardzo malutkie a niektóre z nich nie zawierają nic ciekawego. Odwiedzamy po kolei wszystkie, przy okazji szwendając się po starym mieście. Z wszystkich muzeów najwięcej do zaoferowania zwiedzającym mają Museo Municipal, Museo Portuques i Casa Nacarello. Idziemy także do kościoła Martiz i do starego portu, gdzie dziś jest małe molo i stoją dość ładne jachty. Zwiedzenie całego starego miasta zajęło nam ok. 3 godziny. Postanawiamy więc wymienić więcej pieniędzy i pójść na obiad (parilla dla 2) i lody. Później się rozpogadza niebo więc idziemy się jeszcze raz przejść po mieście. O 16:30 odbieramy bagaże z dworca i idziemy do portu, skąd o 18 odpływa nasz prom do Buenos Aires. Cieszymy się, że zdecydowaliśmy się płynąć jeszcze tego samego dnia. Wydaje się nam, że nawet jednodniowa wycieczka z Buenos w 2 strony byłaby wystarczająca na zwiedzenie Colonii. W porcie odbywa się jednocześnie kontrola graniczna argentyńska i urugwajska. Katamaran płynie szybko, w godzinę dopływa do Buenos. Podróż jest trochę mecząca, bo statkiem buja, ale nie jest też bardzo uciążliwa. Na miejscu próbujemy znaleźć jakiś tani transport. Okazuje się, że nie dopłynęliśmy tam, gdzie mieliśmy zaznaczony port na mapce, ale do dzielnicy La Boca. Z głównej ulicy jedziemy na gapę autobusem 29 prawie pod sam obelisk. Aby kupić bilet w autobusie, trzeba mieć monety. My nie mieliśmy. Nie mieliśmy też karty, z której kierowca pobiera opłatę. Na szczęście udało nam się dojechać bez problemów. Znajdujemy hostel Obelisk Suites, meldujemy się i idziemy wymienić pieniądze na Av. Florida. Wymieniających jest sporo, ale nie oferują zbyt dobrego kursu, tłumacząc się karnawałem i wieczorną porą. Wymieniamy tylko 100 dolarów, żeby móc zapłacić za noclegi w hostelu. Jemy pierwszą naprawdę dobrą (nie drożdżową) pizzę w Argentynie i idziemy spać.

4.03.2014 Buenos Aires → Lujan

Wypaliśmy się wspaniale. W hostelu było spokojnie. Strefa sypialna jest położona zupełnie w innej części niż część wspólna, więc nie ma problemu z imprezowiczami. Pokój dwuosobowy dostaliśmy bardzo ładny, duży, odnowiony i czysty. Z czystym sercem możemy polecić ten hostel, zwłaszcza, że jest bardzo dobrze położony. Rano pada obfity deszcz. Zmieniamy więc plany i jedziemy shuttlem Fabebus ze stacji autobusowej koło obelisku do Lujan, gdzie znajduje się narodowe sanktuarium Argentyny. Drogę pokonujemy w godzinę i 15 min. Bazylika jest bardzo ładna, zbudowana z różowego kamienia. W środku wystrój jest bardzo skromny i prosty. Jedyną ozdobą jest ołtarz główny, w którego centrum umieszczona jest cudowna figura Matki Bożej z Lujan. Mimo, że przyjechaliliśmy tu w środku tygodnia i bez specjalnej okazji, we wnętrzu spotykamy sporo pątników. Trwa spowiedź, jest osoba kaplica na modlitwę za ołtarzem, jeden ksiądz świeci różańce i inne dewocjalia. Matka Boża z Lujan ma sukienkę w kolorach flagi Argentyny. Jej wizerunek jest powszechny w całym kraju. Zaskoczeniem dla nas są psy, które chodzą i śpią w bazylice. U nas byłoby to nie do pomyślenia. Widzimy jak jedna kobieta z pudelkiem na smyczy podchodzi się spowiadać do konfesjonału. To już trochę za dużo jak na nasze nerwy, ale tu nikt nie zwraca na to zbytnej uwagi. Wracamy do Buenos autobusem 57 z pobliskiego dworca. Ponieważ nie mamy karty przejazdowej, na koniec podróży Przemek płaci 50 peso bezpośrednio kierowcy. Nie wiemy czy to do jego kieszeni idzie czy nie, ale i tak jesteśmy zadowoleni, że dojechaliliśmy tam gdzie chcieliśmy. Zatrzymujemy się na obiad w przydrożnej restauracji. Porcje schabowego i steka jak zwykle nie zawodzą. Następnie idziemy do Museo Evita, czyli muzeum poświęconego Evie Peron. Muzeum znajduje się w pięknym, zabytkowym domu. Jest dość duże i opowiada o różnych aspektach życia Evity, od dzieciństwa, przez aktorstwo aż do polityki. Nie brakuje tu też jej przedmiotów osobistych oraz sukienek. Stamtąd na pieszo idziemy na najstynniejszy cmentarz Recoleta. Cmentarz rzeczywiście jest bardzo ładny i składa się wyłącznie z samych wielkich grobowców, z grobem Evity i Sarmiento, ale zaskoczeni jesteśmy, że jest taki mały. Po cmentarzu w Santiago spodziewaliśmy się, że ten będzie jeszcze większy. Tu

spokojnie wystarczy godzina, żeby przejść się poszczególnymi uliczkami i dokładnie obejrzyć wszystko. Zwracamy uwagę, że w niektórych grobowcach są wstawione zwyczajne trumny, a także, że czasem razem z ludźmi w grobowcu pochowane są psy. Miejsce jest dość tłoczne. Po wyjściu z cmentarzu idziemy do sanktuarium Matki Bożej del Pilar, znajdującego się tuż przy nekropolii, a następnie do muzeum de Bellas Artes. W muzeum znajduje się bogata kolekcja malarstwa europejskiego, z wielkimi nazwiskami jak Goya, Monet, Renoir itp. Az dziw, że do takiego muzeum nie ma płatnego wstępu. Na 2 piętrze są piękne zdjęcia-portrety Madres de Plaza de Mayo, metek których dzieci zaginęły w czasie terroru. Wracamy na pieszo do hostelu, dziwiąc się, że Buenos Aires jest tak przyjazne zwiedzaniu na pieszo.

5.03.2014 Buenos Aires

Dzisiejsze zwiedzanie miasta zaczęliśmy od Plaza de Mayo z jego katedrą, głównie dlatego, że chcieliśmy zobaczyć, o której godzinie jest Msza Święta, bo dziś Środa Popielcowa. Katedra jest bogata i bardzo ciekawa. Niestety muzeum przy katedrze, w którym podobno można się dowiedzieć więcej o obecnym papieżu Franciszku, było zamknięte ze względu na renowację. Być może wzbogacona zostanie właśnie ta papieska część. Postanowiliśmy więc zwiedzić Teatro Colon. Zwiedzanie odbywa się obecnie co godzinę po angielsku. Kupiliśmy bilety i poszliśmy przy okazji zobaczyć Plaza Lavalle z pałacem sprawiedliwości i Escuela Presidente Roca. Czasu mieliśmy sporo, więc poszliśmy też nieco dalej do Palacio de las Aguas Corrientes. Budynek jest świetny, kolorowy, zabytkowy, naprawdę niespotykany. Polecamy! Zwiedzanie teatru tanie może nie jest, ale wewnątrz zdecydowanie jest tego warte. Uwielbiam takie budynki w klasycznym stylu. Do tego przewodnik opowiadał historię tego miejsca bardzo interesująco. Wśród zwiedzających była również studentka śpiewu operowego, więc mogliśmy się przekonać na żywo, jak dobrą akustykę ma sala. Po dobrze spędzonym popołudniu poszliśmy na chyba najtańszą pizzę w mieście (około 10 zł), która była już gotowa, prosto z pieca i jak za tę cenę naprawdę pyszna. Zadowoleni, że udało nam się zaoszczędzić dzięki temu sporo czasu postanowiliśmy pojechać do dzielnicy kolorowych domków – La Boca. Kupiliśmy w tym celu nawet kartę przejazdową na transport miejski. Niestety po ponad 40 min. oczekiwania na jeden z dwóch autobusów, które tam jeżdżą, nie przyjechał żaden autobus. Podobno zmieniły trasę ze względu na jakieś protesty w centrum. Poszliśmy więc na Plaza de Mayo i zwiedziliśmy Cabildo (nic się nie stanie, jeśli pominiecie wewnątrz budynku). Po wyjściu zobaczyliśmy przejeżdżający autobus nr 24 jadący do La Boca więc szybko do niego podbiegliśmy i wsiedliśmy. Zadowoleni z takiego obrotu sprawy zwolniliśmy się z czujności i pomyłkowo dojechaliśmy aż do końca trasy (daleko poza Buenos). Żli na siebie wzięliśmy autobus w 2 stronę, tym razem kilkukrotnie prosząc kierowcę, żeby nas wysadził, gdzie chcemy. Na szczęście tym razem się udało, ale myślę, że ponad godzinę przez to straciliśmy. Zabytkowa część La Boca jest niewielka, to w sumie 3 turystyczne małe uliczki z restauracjami i kolorowymi domkami. Pełno tu artystów i tancerzy tango. Nawet w restauracjach dają pokazy. Dziwimy się, że wszyscy w sklepikach sprzedają to samo a nie ma nawet lodziarni czy sklepu z napojami. Wracamy autobusem nr 29 do centrum i idziemy na Mszę do katedry. Inaczej niż w Polsce nie posypuje się tu w Środę Popielcową głów popiołem, ale robi się popiołem znak krzyża na czole. Wieczorem idziemy do dzielnicy Puerto Madero, która ciągnie się wzdłuż drugiego brzegu rzeki. To trochę inny świat, bardziej nowoczesny, czysty. Lubimy takie klimaty, więc dobrze się tam czujemy. Niestety nie udaje się nam już wejść do Museo Fortabat, które było naszym celem, ale postanawiamy tam wrócić następnego dnia. Wracamy, rozkoszując się ostatnimi ciepłymi wieczorami przed powrotem do Polski.

6.03.2014 Buenos Aires → Tigre → Buenos Aires

Wstajemy trochę szybciej, bo dziś chcemy jak najlepiej wykorzystać ostatni dzień zwiedzania. Najpierw jedziemy metrem do stacji Retiro, skąd bierzemy pociąg do Tigre. Podróż trwa około godziny. To chyba najszybsza i najtańsza opcja dostania się do tego miasteczka, słynącego z położenia wzdłuż rzecznych kanałów wodnych. Wszyscy piszą, że podobne jest do Wenecji, ale jak dla nas podobieństwa nie ma żadnego. W Tigre kierujemy się do Estacion Fluvial, gdzie kupujemy bilety do Tres Bocas. Jesteśmy zadowoleni z wyboru, bo podróż trwa w sam raz (ani za długo ani za krótko), na miejscu jest gdzie się przejść i to w zależności od czasu, którym dysponujemy, jest spokojnie, ale też są miejsca, w których można się zatrzymać i zjeść obiad, co też zrobiliśmy. Na miejscu można przejść się spokojnie wśród domków położonych nad kanałami. Kanały są różnej wielkości, od olbrzymich, po których pływają promy do malutkich, niewiele większych od strumyków. Woda nie śmierdzi, co bywa problemem w Wenecji latem. Jediną niedogodnością są komary, dlatego dobrze jest zaopatrzyć się w dobry repelent przed wycieczką. Po kanałach można popływać wynajętymi kajakami. Miejsce wydaje się bardzo dobre do odpoczynku, nawet dziwiliśmy się, że ktoś nie wpadł na pomysł otworzenia jakiegoś hostelu w tym miejscu, bo sami chętnie spędzilibyśmy tam więcej czasu. Poza tym pozwoliłoby to nie tylko zobaczyć Tigre, ale także lepiej poczuć jego klimat. Zadowoleni z wyjazdu wróciliśmy do Buenos, lekko zmartwieni, że nie zdążyliśmy na 16 na zwiedzanie Parlamentu. Mimo tego odwiedziliśmy budynek Palacio Barolo i poszliśmy na 17 na zwiedzanie senatu. Na miejscu okazało się, że teraz zwiedzanie obejmuje jednocześnie obydwie izby parlamentu i odbywa się właśnie o 17. Dostaliśmy nawet karty honorowego senatora argentyńskiego Parlamentu jako karty wstępu. Zwiedzanie odbywało się z przewodnikiem i trwało około godziny. Mieliśmy możliwość odwiedzić wszystkie najważniejsze salony i obie izby oraz dowiedzieć się więcej na temat systemu politycznego w Argentynie. Zwiedzanie jest darmowe i po raz kolejny byliśmy zaskoczeni, że tak mało osób z tego skorzystało (było nas ledwo 9 osób). Sam budynek jest olbrzymi, zbudowany na wzór amerykańskiego kongresu. Robi wrażenie swoją wielkością i bogactwem zdobień, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz. Zachęteni dobrym czasem, podjechaliśmy kawałek metrem na Plaza de Mayo i przeszliśmy się do Manazana de las Luces, czyli przecznicy ignacjańskiej, zwiedziliśmy kościół i poszliśmy do Museo Fortabat. Tym razem drzwi nie były zamknięte. Kupiliśmy bilety, dostaliśmy zaproszenie na darmową kawę w kawiarni obok i zaczęliśmy zwiedzanie. W muzeum było zaledwie kilka osób, więcej pracowników niż zwiedzających. Na początku jest kilka portretów właścicielki muzeum, łącznie z portretem namalowanym przez Andiego Warhola. Inne obrazy są z różnych epok i szkół, ogólnie dość duży miesz-masz. Podobały nam się obrazy Xul Solar oraz obraz Betlejem zimową porą, trochę bajkowy i europejski, na pewno malowany przez osobę, która w Betlejem nigdy nie była 😊 Spacerkiem wróciliśmy sobie Av. Florida do hostelu.

7.03.2014 Buenos Aires → Londyn

To już ostatnie chwile w Argentynie. Pakujemy się, jemy śniadanie w Subway, bo na hostelowe już nie możemy patrzeć i o 11 wyjeżdżamy shuttlem na lotnisko. Naszym samolotem leci cały kontyngent argentyńskich żołnierzy UN. Ciekawie to wygląda. Za ostatnie peso kupujemy alfajores na prezenty. Lot przebiega bez komplikacji a w British Airways dostajemy całkiem przyzwoite jedzenie jak na samolot i oglądamy po 3 filmy. Tak wygląda powrót do cywilizacji po ponad 2 miesiącach podróżowania.

8.03.2014 Londyn → Wrocław

Rano patrzymy na piękny wschód słońca. Pogoda w Londynie jest iście angielska. Pochmurno, zimno, pada. Dodatkowo w wiadomościach podają, że rozbił się samolot malezyjski, taki sam jakim lecieliśmy z Buenos Aires. Na szczęście mamy tylko krótki postój i dalej lecimy już do słonecznego

Berlina, skąd odbierają nas rodzice. We Wrocławiu również jest słonecznie i ciepło jak na zimę. O dziwo nie odczuwamy większego zmęczenia podróżą, choć w nocy niewiele spaliśmy w samolocie.